

odgłosy



Nr 28 (332)
12. VII. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Baluckie, limfatyczne dzieci** • **Spór o prawo** • **Hitlerowska**
V kolumna w woj. łódzkim • **Stara Bułgaria** • **Opole-64** • **Nowelka Maughama**
Recenzje • **Polonica** • **Felietony**



JÓZEF HENRYK
WIŚNIEWSKI

Uciekne do NOWEJ HUTY

1.

Ciepło, gdzieś — mówi ten przy piecu, kiedy wali fala ciepłego powietrza o temperaturze 80 stop. C. W odległości kilku metrów od niego — wyciska ze mnie ostatnie poty — nie mam czym oddychać.

Oprowadza mnie po hucie Jan. Jan kpi sobie — kiedy przyjadą do nas ci z filmu, albo z telewizji to zaraz namawiają chłopaków, żeby na tle płomienia sypali łopami wsad do pieca — efektowne to i niejednego może wystraszyć, a u nas wsad pakuje się mechanicznie. Najgorzej, najczęściej mają ci przy wielkich piecach.

Wychodzimy z hali. Przed nami zadymlona panorama huty. Płatawiska torów kolejowych. Wielki piec. Jan na tym kominie robił do siedemdziesiątego metra od samych wykopów. „O, w tamtym baraku, zaraz za ogrodzeniem ukradli mi wszystkie rzeczy, jak się tu zaciągałem” — mówi Jan.

Jan przyjechał do Nowej Huty w roku 1952. To pokolenie ma wypisaną na czole swój czas. Życie go nie głaskało. Przed wojną chodził przez kilka lat do szkoły. W czasie okupacji ojciec trochę zajmował się przewozami, miał fur-

Dalszy ciąg na str. 3

Hemingway:
Moje paryskie
wspomnienia



JANUSZ ROSZKO

METEOR POWIATOWY

Wzbudził od razu dreszcz u malomiasteczkowych panien, pływali w obłoku dziewiczych zachwyceń, był w siódmym niebie. Nosił ciemne okulary à la Cybulski, przesiadywał w kawiarni, gdzie przy czarnej kawie słuł opowieści o swoich przelatających czynach, które podobne były zaiste tym, których wysłuchiwał król Artur pośród rycerzy okrągłego stołu. On sam miał powierzchowność ludzka, jakby wyraziła się Katarzyna Wielka, oraz długoletni staż w wielkomiejskich kawiarniach, który przyniósł mu swadę i materiał do wstrząsających opowieści.

Dziewczęta w tym miasteczku są rzeczywiście piękne. Byłem zdziwiony ich zachwytem wobec Meteora. One jednak potrafiły go sobie wyobrazić jako bohatera tych wspaniałych opowieści, których ja jeszcze nie znałem. Feliks Krull z powieści Manna był podobno mizernym niedoroślikiem, baron Münchhausen stetryczałym anachronista. Realnie rzecz biorąc Meteor winien był wzbudzać lubą błogość co najwyżej u czterdziestoletnich lichwiarek i ulomnych kapitalistek.

Zdażyłem zaledwie zobaczyć ratusz ze świecą pomarańczowo tarczą zegara na wieży i wielki rozświetlony gmach ze szkła na Ryńku, będący Domem Towarowym — gdy w kawiarni zostałem zaproszony przez Meteora do stołki. Siedziało tam coś 5 osób. Zdażyłem jeszcze odczytać nazwę ka-

wiarni przez szybę, wypisaną odwrotnie: „azóR”, litery były rzecz prosta w inną stronę, gdy jak trąba powietrzna porwał nas wszystkich jego monolog; pozwalał nam zaledwie na dwa, trzy słowa.

W centralnym punkcie naszego towarzystwa siedziała teraz młoda, śliczna blondynka, dla swej urody nazywana powszechnie „Wenus miasta W.” Koci ruch jej obu rąk, przesuwających się leniwie od bioder po białostopodował, że zapomniałem na chwilę o Meteorze, ale on nie dał o sobie zapomnieć.

Zaczął od pozdrowień dla wspólnych znajomych z Krakowa — aczkolwiek się zastężył, że studia kończył w Warszawie i wiał ciwje niewiele go z podwawelskim grodem łączy. Ale bywa tam chętnie przyjmowany, mile widziany. Bywał tam często — z ramienia Rady Naczelnej ZSP. Przypomniał mi nawet jakąś dyskusję po moim artykule krytycznym o „Juwenaliach”, że przemawiał wówczas właśnie „z ramienia” i „ze szczebla”. Wymienił jednym tchem nazwiska co znamienitszych aktorów, autorów — od Mroźka poczynając na Broszkiewiczzi kończąc, dziennikarzy, plastyków. Była tego niezliczona masa, pochód, kondukt niemal, postępowali tam również ministrowie, którzy wylewnie ścisłali mu rękę, najwybitniejsi zmarli ostatniego okresu, w których ceremoniach pogrzebowych uczestniczył bądź z urzędu

bądź z serdecznej więzi — gdyż nawet szlachetnych zmarłych zapagnął wykorzystać do wywyższenia swej postaci na piedestał.

Tlum znakomitych żywych i nieboszczyków się skończył, zaczęły się sławne czyny.

Co chwilę przeproszał, czy mnie aby nie męczy. Wenus słuchała z godną podziwu cierpliwością, aczkolwiek zwracałem uwagę, że mogliśmy na chwilę porzucić nieboszczyków, znakomitości i zabawić panią jakimś szampańskim dowcipem. Ale właśnie ja musiałem być wykorzystany do końca. Musiałem jako znajomy z Wielkiego Miasta — potwierdzić to wszystko, dać niejako swój placet na wszystkie jego opowieści, zagwarantować ich wiarogodność. Przyjąłem więc tę rolę gwaranta, aczkolwiek co chwilę nachodziła mnie ochota, aby powiedzieć prawdę.

„Ja pisałem artykuł „Komu graja saksofony” w „Dzienniku Polskim” — o lokalach nocnych — dodaje Meteor.

Chlestał: „...w prasie umieszczam. Jestem poza tym autorem wielu dzieł: „Wesele Figara”, „Robert Diabeł”, „Norma”...”.

Fatalnie się złożyło, gdyż dotąd pamiętam jak wyglądał i jak nazywa się prawdziwy autor rzeczonych artykułów, a jest rzeczą niepodobną, aby zmienił obie te rzeczy (tzn.

Dalszy ciąg na str. 4

Dziwna podróż
ze SCOTTEM
FITZGERALDEM

Kiedy pierwszy raz spotkałem Scotta Fitzgeralda, wyglądał jak chłopiec z twarzą przystojną, nieomal piękną. Miał faliste włosy, wysokie czoło, żywe, przyjacielskie oczy i delikatne, szerokie irlandzkie usta, które u dziewczyny można by nazwać pięknymi. Miał mocny podbródek, kształtne uszy, oraz ładny, prawie piękny, niewielki nos.

Dalszy ciąg na str. 6

Artykuł ten stanowi fragment pracy autora „Mniejszość niemiecka w Polsce centralnej 1919—1939 r.” Łódź 1962 r. Czytelników posiadających wspomnienia w związku z opisywanymi wydarzeniami autor prosi o listy do redakcji tygodnika „Odgłosy”.

Lata 1933—1939 r. stanowiły okres wzrastających wpływów ideologii narodowo-socjalistycznej wśród mniejszości niemieckiej w Polsce. Na długo przed wybuchem konfliktu III Rzeszy rozbudowywała niemiecką V kolumnę w Polsce, która w latach 1933—1939 posiadała charakter głównie polityczny — podminowywania państwowości polskiej, lecz w 1939 r. przekształciła się już w wojskową zmierzając do rozbięcia państwa.

Województwo łódzkie stanowiło główny ośrodek życia mniejszości niemieckiej w środkowej Polsce. Liczba ludności niemieckiej w województwie łódzkim wynosiła 155.300 w świetle spisu powszechnego w 1931 r. Z tej liczby 53.263 osoby przypadało na miasto Łódź, stanowiąc tylko 10% całej ludności miasta. W 1938—39 r. liczbę Niemców w Łodzi określano na około 60.000 osób, a w województwie na 170.000 zamieszkałych w powiatach: łódzkim, brzezińskim, kaliskim, konińskim, kolskim, łasko-łęczyńskim, piotrkowskim, radomszczańskim, sieradzkim i tureckim.

Łódź stanowiła metropolię życia politycznego, gospodarczego i społeczno-organizacyjnego oraz kościelno-wyznaniowego mniejszości na całym obszarze środkowej Polski. Tutaj działało 100 organizacji niemieckich (40 zrzeszeń kościelno-wyznaniowych, 18 świeckich związków śpiewaczych i muzycznych, 6 stowarzyszeń kulturalno-oświeceniowych, 9 organizacji zawodowych, 10 związków sportowo-gimnastycznych, 12 organizacji młodzieżowych i 5 różnych) nie licząc partii politycznych oraz ich przybudówek.

W latach 1937—1939 r. wydawano w Łodzi około 20 pism niemieckich. W Łodzi miały również siedzibę najważniejsze niemieckie zrzeszenia i placówki gospodarcze w środkowej Polsce z Deutsche Genossenschaftsbank jako centralą pieniężną na czele.

Najważniejszą jednak rolę w życiu Niemców łódzkich odgrywały partie polityczne o charakterze narodowo-socjalistycznym — Deutscher Volksverband (DVV) i Jung Deutsche Partei (JDP). DVV — najsilniejsza nacjonalistyczna partia narodowo-niemiecka w środkowej Polsce, działająca już od 1924 r., po powstaniu III Rzeszy uległa szybkiej i zupełnej hitleryzacji. Rywalizując z nią JDP, operująca już od 1934 r. w skali ogólnokrajowej, odznaczała się jeszcze większym fanatyzmem hitlerowskim.

Ostra walka konkurencyjna obu partii w latach 1934—1938 doprowadziła nie do osłabienia politycznego życia mniejszości, lecz do wzmożenia aktywności politycznej i liczebności zwalczających się ugrupowań. Ponadto w procesie nazyfikacji Niemców łódzkich poważną rolę odegrała placówka Auslandsorganisation NSDAP (AO NSDAP)

zacji gospodarczych, kulturalnych, społecznych i zawodowych. W końcu października 1938 r. DVV i JDP zaprzętały walki konkurencyjne, zawierając porozumienie w sprawie wspólnego bloku w wyborach samorządowych. U schyłku 1938 r. i w początkach 1939 r. hitlerowska V kolumna w Łodzi działająca według dyrektyw Berlina zaczęła coraz wyraźniej zmieniać charakter z politycznego na wojskowy. Celem jej działalności było już nie podminowywanie państwowości polskiej, lecz czynne współdziałanie z III Rzeszą w jego likwidacji.

Wiosną 1939 r. w okresie zaostrego konfliktu polsko-niemieckiego działalność hitlerowskiej V kolumny w województwie łódzkim znalazła wyraz w prowadzeniu intensywnej akcji szpiegowsko-dywersyjnej, szerzeniu defetyzycznej propagandy i uprawianiu wewnątrz kraju różnych form wojny nerwów przeciw Polsce. Organizowaniu ucieczek Niemców łódzkich do Rzeszy i prowokowaniu antyniemieckich wystąpień jako „dowodów” na zewnątrz „polskiego terrorku”. Klimat do prowadzenia działalności szpiegowskiej dla potrzebnego wywiadu III Rzeszy był wyjątkowo sprzyjający w łódzkim okręgu przemysłowym. Ludność niemiecka mimo słabości liczebnej odgrywała poważną rolę w życiu gospodarczym

miach łódzkich w formach prowadzenia antypaństwowej propagandy wśród mniejszości oraz szerzenia defetyzycznej propagandy wśród Polaków. Ta ostatnia określona nazwą Flüster propaganda polegała na rozpowszechnianiu różnorodnych i fałszywych wiadomości, celem wzbudzenia krytycznych nastroszeń wobec polityki państwa. Wyznaczono terminy inwazji niemieckiej, próbowano wykorzystywać rozdziewki między większością społeczeństwa i niepopularnym rządem sanacyjnym, przypominając kapitulację monarchijską zachodnich demokracji. Zapowiadano także rychłą katastrofę finansową państwa. W drugim kwartale 1939 r. pociągnięto do odpowiedzialności karnej 60 Niemców łódzkich za szerzenie antypaństwowej defetyzycznej propagandy, a chodziło tutaj tylko o poważniejsze jej wypadki.

Udział hitlerowskiej V kolumny w organizowaniu ucieczek Niemców łódzkich do Rzeszy był bardzo poważny. W okresie od 1 marca do 31 sierpnia 1939 r. zbiegło do Niemiec z województwa łódzkiego około 5.000 osób. Większość ich stanowili członkowie DVV i JDP, prohibiterowskich organizacji zawodowych, młodzież szkolna. Znajdowali się wśród nich także reprezentanci niemieckiej łódzkiej burżuazji — Achim i Arndt Haeblerowie.

HITLEROWSKA V KOLUMNĄ

w woj. łódzkim w przededniu wojny

przedująca w lokalu konsulatu niemieckiego w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 260. AO NSDAP — ekspozytura zagraniczna partii hitlerowskiej była wprawdzie organizacją elitarną, a nie masową tak jak DVV i JDP, formalnie zrzeszającą tylko obywateli III Rzeszy zamieszkałych w Łodzi, jednak oddziaływanie jej w życiu mniejszości było silne. Działalność AO NSDAP patronował konsul niemiecki w Łodzi E. Berchem von Königsfeld (1934—1939), którego udział osobisty w procesie hitleryzacji Niemców łódzkich był bardzo widoczny.

Procesowi nazyfikacji Niemców w Łodzi przyczyniły się już od 1934 r. wzrastający kryzys w szeregach niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej reprezentowanej przez socjalistyczną Deutsche Sozialistische Arbeitspartei i liberalny Deutscher Kultur und Wirtschaftsband — późniejsze Vereinigung der Deutschen in Polen. Liberalizm władz sanacyjnych w stosunku do łódzkich hitlerowców, potępiany przez większość ludności polskiej i żydowskiej w Łodzi, ułatwiał im spychanie przeciwników na peryferie życia niemieckiego. Represje i prześladowania władz zmusiły również podziemną Komunistyczną Partię Polski do ograniczenia walki z wpływami hitlerowskimi w życiu mniejszości, prowadzonej poprzednio intensywnie w Łodzi w latach 1928—1934 r. Szczególną rolę w zwalczaniu wpływów KPP wśród mniejszości spełniali pracownicy Renegacki niemieckiego socjalizmu w Łodzi — Artur Kronie, Otto Heike, Gustaw Ewald, Ludwik Kuk. W 1938 r. proces hitleryzacji Niemców łódzkich został już zakończony, obejmując większość niemieckich instytucji oraz organi-

(około 45% większych zakładów przemysłowych własnością Niemców), a silna rozbudowa niemieckich ośrodków hitlerowskich mających powiązania ze znaczną częścią niemieckiej burżuazji łódzkiej stwarzała dogodne warunki dla skutecznej działalności wywiadu polityczno-wojskowego i gospodarczego. Nieudolność władz policyjnych w zwalczaniu szpiegostwa niemieckiego oraz słabość łódzkiej akcji polskiego kontrwywiadu, Samodzielnego Referatu Informacyjnego IV Dowództwa Okręgu Korpusu w Łodzi, który ze swym szczytnym personelem i ograniczonymi funduszami nie był w stanie zlikwidować licznych i dobrze zorganizowanych agentur niemieckich, jeszcze bardziej potęgowały niebezpieczeństwo. Wiosną 1939 r. w Łodzi i województwie zaczęły się coraz bardziej mnożyć afery szpiegowskie, których bohaterami okazywali się hitlerowcy łódzcy oraz ich współpracownicy. Najwięcej wypadków niemieckiego szpiegostwa ujawniono w rejonach prac fortyfikacyjnych armii Łódź (w Łasku, Wielunju, Bełchatowie, Sieradzu oraz w miejscowościach nad rzekami Warta i Widawką) dokąd ściągali liczni „turyści” niemieccy, zaopatrzeni m. in. w aparaty fotograficzne w celu rozpoznawania ugrupowań wojska i budowy pozycji obronnych. O rozmiarach niemieckiego szpiegostwa w Polsce, w tym okresie najlepiej świadczy fakt ujawnienia 600 takich wypadków, podczas gdy w ciągu czterech lat 1935—1938 wykryto tylko 300 wypadków działalności wywiadu niemieckiego.

Udział hitlerowskiej V kolumny w gwałtownej wojnie nerwów prowadzonej przez III Rzeszę przeciw Polsce przejawiał się na zie-

Ucieczki Niemców — obywateli polskich do Rzeszy stanowiły poważny atut propagandy Göbbelsa o rzekomych polskich prześladowaniach zarówno na użytek wewnętrzny Niemiec, jak i dla zagranicy. Stały się też one źródłem informacji dla wywiadu i bazą zaopatrzenia Wehrmachtu w przemyślników. W organizowaniu ucieczek do Niemiec Łódź spełniała rolę jednego z głównych ośrodków akcji przemytu zbiegów. Wskazywała na ten fakt likwidacja tutaj latem 1939 r., kilku organizacji przemysłowych połączona z aresztowaniem 63 osób, po uprzednim skazaniu 50 przemyślników oraz ich pośredników. Prowokowanie awantur i incydentów przez hitlerowców butną i zaczepną postawą wobec Polaków stanowiło również zorganizowaną akcję V kolumny, mającą na celu pogłębienie zdraźnień i fermentów między ludnością niemiecką i polską, które dawały III Rzeszy powód do interwencji. W samym tylko II kwartale 1939 r. pociągnięto w Łodzi do odpowiedzialności 150 osób narodowości niemieckiej za lenie narodu i państwa polskiego. Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy służnie wskazywała, że źródłem tych wystąpień była antypolska propaganda i ostrzeżala ludność niemiecką przed uleganiem jej.

Przedstawione aspekty działalności hitlerowskiej V kolumny nie obejmowały jeszcze całokształtu tej działalności w województwie łódzkim. W ostatniej fazie konfliktu miały nastąpić zamachy terrorystyczne i dalsze akty terrorku przygotowane starannie w miesiącach letnich 1939 r.

MIROSLAW CYGAŃSKI

Notatki na marginesie

Gallup

ogłosił wyniki najnowszych badań opinii publicznej dotyczące jesiennych wyborów prezydenckich. Oto one:

73 proc. demokratów przewiduje zwycięstwo Johnsona

55 proc. republikanów byłoby gotowych głosować na Serantona, a tylko 34 proc. na Goldwatera.

William Soranton (kandydat republikański na stanowisko prezydenta USA).

„Ponieważ w polityce wszystko może się zdarzyć, nie jest więc wykluczone, że w listopadzie Goldwater zwycięży Johnsona. Ale zdrowy rozsądek zdaje się wskazywać na to, że Barry Goldwater nie ma tej szansy”.

Gen. Nguyen Khan: (rzecznik reakcji pld. wietnamskiej)

„Niech tylko przyjdzie do nas generał Taylor, a postaramy się, żeby zrobiło się gorąco w całej Południowej Azji”.

General Maxwell Taylor: (nominiowany ambasador USA w pld. Wietnamie).

„Stany Zjednoczone są za pokojem i nie będą się wdrażać w awantury zmierzające do poszerzenia teatru wojny”.

Cabot Lodge: (były ambasador w pld. Wietnamie).

„Nie ma sensu wykorzystywać spraw Południowej Azji w naszej prezydenckiej kampanii wyborczej: Pamiętajmy, że ten problem dręczy i Tru mana i Eisenhowera, i Kennediego — a teraz — nie mniej — dręczy i Johnsona. Przysły prezydent będzie miał te same kłopoty...”

Waller Lippmann: (wybitny publicysta amerykański)

„Coraz częściej słyszy się, że senator Goldwater, w wypadku zwycięstwa w wyborach prezydenckich, będzie realizował umiarkowaną linię polityczną. To oczywiście absurd. Po prostu senator Goldwater wie, że w walce wyborczej trzeba czasem się cofnąć: to operacja strategiczna. Stąd jego umiarkowana deklaracja. Ale nominacja na prezydenta wszystko zmieni. Byłaby ona prawdziwym dziełem zniszczenia amerykańskiej wolności”.

Robert Kennedy: (generalny prokurator USA).

„Wiem jaka jest polityczna sytuacja prezydenta Johnsona, znam jego poglądy i nie będę nastawał na kandydowanie na wiceprezydenta w jego kampanii: idziemy innymi ścieżkami, świat biznesu krzywo by patrzył na moją kandydaturę, a na południu mogłoby ona kosztować Johnsona i sporo głosów. Właściwie chciałby me kandydatury tylko przywódca murzynscy. Oni dostaw nie wszyscy chcieliby mnie na wiceprezydenta”.

Premier belgijski Paul — Henri Spaak:

„Myślę, że nadszedł już czas, by belgijscy doradcy wojskowi wzięli w swe ręce organizację armii kongijskiej. Jesteśmy gotowi takiej pomocy użyć — również w wypadku jeśli powróci do władzy Moise Tschombe”.

De Gaulle:

„Kongo we współczesnym świecie jest drugim co do wielkości państwem francuskiego obszaru językowego”.

Burmistrz Tulon:

„Obawiamy się pewnych kłopotów w związku z modą ekshibicjonistycznych damskich kostiumów kąpielowych. Zresztą wydaje mi się, że chociaż wiele pięknych biustów damskich zasługuje na podziw, obecna moda przy niesie kobietom więcej szkody niż korzyści...”

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO.
O REPERTUARZE
TEATROW
ŁÓDZKICH.
O „ODGŁOSACH”

Na list Twój wzięło udział w losowaniu nagród książkowych. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twojego tygodnika.

„ODGŁOSY”

POLONICA

„BALLADA O KSIĘŻNICZCE LILIANIE”

Telewizja wiedeńska nadała polski film kukielkowy pt. „Ballada o księżniczce Lillianie”. Księżniczka pragnie poślubić starającego się o jej rękę, który jednak nie podobą się królowi. Z rozkazu króla zostaje on zamurowany, ale ukochana dostarcza mu do więzienia środków do życia. Ciekawa pointa i dobre pomysły w filmie tym zastosowane spodobały się te lewidom i prasie, która poświęciła „Balladzie o księżniczce Lillianie” słowa ciepłej pochwały.

ARTUR RUBINSTEIN
W SYDNEY

występy „Beatles” z USA. Umieszczono ich w hotelu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko miejsca „postaju” Rubinsteina. Rychło zgromadzili się pod obydwanymi hotelami zwolennicy pianisty i zwolennicy twiasta. Chociaż zwolennicy twiasta przeważali liczebnie, zwolennicy Rubinsteina nie ustępowali im w bojowości i entuzjazmie. Ci ostatni mieli ze sobą transparenty z napisami: „Artur jest elegantszy”, „Kochamy Rubiego”. Gdy spór pomiędzy obydwoma grupami doszedł szczytu, na balkonie pojawił się Artur Rubinstein i powiadał do swoich zwolenników: „To jest demonstracja na rzecz dobrego smaku”

KONKURENCI POLSKIEJ GRAFIKI

Z okazji ukazania się w NRE tomu grafik artystów

jugosłowiańskich, recenzent tygodnika „Die Zeit” (Hamburg — Buenos Aires — Toronto) pisze, co następuje: „Oswiliśmy się z opinią, że w Polsce projektuje się dobre plakaty, wydano publikację polskich plakatów w Econ-Verlag, prezentującą najbardziej znaną polską grafikę użytkową. Ustalenie się tej opinii przy bliższym wejściu nie wytrzymuje krytyki. W Czechosłowacji na Węgrzech i w Jugosławii grafika i rysunkowe filmy trikowe wzniosły się na poziom, który dorównuje Polakom, a niekiedy je nawet przewyższa”.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
PO ROSYJSKU

Dotarł do nas tom przekładów opowieści, noweli i dramatów Jarosława Iwaszkiewicza, wydany w Moskwie nakładem „Chudożestwiennoj Literatury”. Tom objętości blisko 500 stron dźwięku, zawiera „Panny z Wilka”, „Ikar”, „Młyn nad Lutynią”, „Dziewczynę i gołębie”, „Jad

winie” i „Kochanków z Marony”, a z dramatów — „Lato w Nohant” i „Odbudowę Błodmierza”. Książkę poprzedza słowo wstępne od wydawcy oraz obszerny wspomnienie Konstantego Paustowskiego pt. „Spotkanie z Jarosławem Iwaszkiewiczem”, ładnie napisane i bardzo interesujące.

POLACY W ANTOLOGII JAPONSKIEJ

W stolicy Japonii, Tokio ukazała się antologia noweli europejskiej, obejmująca autorów z krajów północnej i wschodniej Europy. Oprócz Skandynawów, Rosjan, Czechów, Węgrów i innych, antologia zawiera również utwory pisarzy polskich. Między innymi uwzględnia ona następujących autorów: Ma-

rię Dąbrowską, Zofię Nalkowską, Stanisława Wygodzkiego i Józefa Henę.

GAZETA NIEMIECKA O „EROICE” MUNKA

Wychodzący w Hamburgu dziennik „Die Andere Zeitung” (25. 6. br.) zamieszcza obszerną recenzję, pióra Peter Daniela, o filmie polskim „Eroica”, który właśnie wszedł na ekrany kin zachodniopolskich. W zakończeniu recenzji Daniel pisze: „Siędem lat trwało, zanim pojawił się w naszych kinach ten film zmarłego w 1961 roku Munka, odznaczający się precyzją ujęć i celnymi dialogami. Film, który należy już do dzieł klasycznych, stanowi młowy kamień w rozwoju współczesnej kinematografii polskiej”.

POLONICA

Ucieknę do NOWEJ HUTY

Dalszy ciąg ze str. 1

mankę. O Jana dbał — uczył się — mówił — byś miał lepiej, niż ja. Kiedy przeszedł front Jan miał już zaliczoną jedną klasę gimnazjum. I wtedy właśnie po raz pierwszy usamodzielniał się. Ojca — wojska zabrali z podwoda i nie wrócił wiele tygodni. Matka znalazła się po drugiej stronie frontu, miała odłamek pocisku artyleryjskiego w nodze. Po kilku tygodniach wrócił na zgłiszczą spalonego domostwa. Potem zjawiał się ojciec, zaczęła się odbudowa. Ale Jan wiedział, że nie ma co robić w rodzinnym domu — ciasno tu było i biednie, chciał użyć rodzinie, wyjechał na Śląsk. Wstąpił do szkoły oficerskiej. Byłby może ją skończył, gdyby nie ta cholerska zadziorność, która wyniosła z domu. Rozgorączony musiał odejść. Pracował kilka tygodni w PGR, potem ruszył do Nowej Huty.

Pamiętacie tamte lata? Nastolatki urywały się, z domu i szły do Nowej Huty, to było coś romantycznego i strasznego dla innych. Straszło się wtedy rodziców w „dobrych domach” — jak mi nie dacie pieniędzy na zabawę to... ucieknę do Nowej Huty. W gazetach co prawda były same laurki, ale wszyscy wiedzieli, że Nowa Huta — ten wielki tygiel, w którym przemieszala się masa ludzka ze wszystkich stron kraju — nie jest najbezpieczniejszym dla młodego człowieka — miejscem na świecie. Do dziś niejednego pioniera nosi od tamtych czasów bliznę po nożu, albo zadurę w duszy.

Wtedy właśnie, kiedy Jan tu przyjechał i zaciągnął się na wielką budowę, na której dźwięczało już kilkadziesiąt tysięcy łopát u progu jego nowohuckiej kariery — spotkał go pierwszy i niespodziewany cios — ktoś skradł mu małe zawiniątko, w którym znajdowało się kilka sztuk bielizny, trochę książek i dokumenty.

Ale Jan nie miał wyboru, po prostu zaciągnął się — został pomocnikiem murarskim. Potem, kiedy ruszyły pierwsze wydziały huty — Jan został elektrykiem. To

było dawno, wiele lat temu. Teraz Nowa Huta ma już 15 lat, jest starym miastem, a sama huta produkuje już stal od 10 lat.

Przyszedł pamiętny rok 1956 i Jan wrócił do szeregów partyjnych. Jest nawet instruktorem Komitetu Fabrycznego PZPR. Komitet ma tutaj prawa komitetu powiatowego. W partii 4 tysiące ludzi — obdarzyli go zaufaniem i wybrali.

W czystym gabinecie Jana — widzę podręczniki uniwersyteckie, bo Jan studiuje i widzę jakże miłe dla oka w hucie — książki: Dostojewskiego, Faulknera.

„U nas dużo się uczy” — mówi Jan. Zresztą przeważają tu młodzi — średni wiek całej załogi huty wynosi 35 lat. Najwięcej jest tu oczywiście ludzi w okolicach trzydziestki i najwięcej z nich pamięta czasy pionierskie, kiedy w dawnej podkrakowskiej wsi — Mogiła stały baraki i łopátami robiło się wykopy.

Teraz 451 ludzi wielkiej załogi studiuje na wyższych uczelniach, w szkołach średnich zdobywa naukę 947 osób. Do Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy hucie uczęszcza ponad 1.200 osób.

W produkcji pracuje 895 inżynierów i 292 osoby posiadające wyższe wykształcenie w innych dyscyplinach. Ukończone szkoły średnie posiada około 3 tysiące ludzi w tej załodze. „Niektórzy w hucie awansowali tak szybko, że jeszcze na butach noszą glinę z wykopów, a już są inżynierami” — mówi Jan. Mówi to bez zawahania i cieszy się, bo tysiące ludzi, takich jak on — przyszło tu z zabiedzonych od wieków wsi Podhala, Rzeszowszczyzny, Kieleckiego i osiągnęli to o czym ich ojcowie nie marzyli nawet — są inżynierami, technikami... Chodzimy z Janem z wydziału na wydział, co chwila ktoś kłania się jemu, albo on komuś przy maszynie twardym ścieńnięciem porusza ramie, znają się od lat od tych ciężkich wykopów i tych lekkich, kiedy siedzi się już za pulpitem maszyny kierującej i porusza subtelnymi pokrętkami i obserwuje tajemnicze dla laika błyski lamp na pulpicie. Tu w wydziale blach zimnych Jan zatrzymuje mnie i przekrzykując świst młotem w zawojach blachy mówi: — „No jak tu można pracować nie mając co najmniej technikum...”

Jan jest dumny ze swojej huty, widać to z jego twarzy, gdy bacznie obserwuje każde moje spojrzenie, gdy chwali się tym, co może mi pokazać. Nie ukrywa niczego, ani tego co dobre i wielkie, ani tego co złe — ciasnych pomieszczeń socjalnych w wydziałach, gdzie miała według pierwotnych planów pracować mniejsza liczba ludzi.

Mówi, że pasjonuje się organizacją pracy. Komu innemu zaśmiałybym się w twarz, ale Janowi wierzę. I wierzę mu, że dreczy go, może nie tylko jego — może i innych to coś, co zrodziło się przed laty — ta żyłka pionierska, to coś co gnało tych ludzi do Nowej Huty.

„Chłopcy” — mówi Jan. Chłopcy to znaczy inżynierowie, technicy

— koledzy Jana, polecieć na te priorytetowe budowy — do Plocka, do Turossowa. Teraz piszą, że buduje się już inaczej. Czasem to by się chciało tak jakoś od nowa i lepiej mówi Jan, może bym i wyskoczył, ale te studia.

2.

Czujemy w nogach wędrowkę po kombinacie, bo rozległa jest ta Huta im. Lenina.

Spod bramy robotników na stanowiska rozwozi się autokarami niekiedy wiele kilometrów w głąb

hucie ZMS, kiedy organizacja powstawała. Był działaczem organizacji, teraz jest urzędnikiem, od niedawna. Rozpatrzył się w robocie, mówi i może pójdzie dalej. Znaczący to, że i on jest jeszcze jednym kandydatem na studia inżynierskie. „W hucie — mówi — trzeba koniecznie być specjalistą i to dobrym specjalistą. Pracuję tu od lat, a przyszło już tyle nowych urzędów, że o niektórych pojęcia nie mam”. O sobie mówi niechętnie.

„Byli tu — już dawno pisali o chuliganach i kurwach co się za kowskiej AGH. Połączy mężczyzna — budowa, jak ulał — hutnicza, biała koszulka, lekkie, modne spodnie. Też chłopak ze wsi pochodzi spod Rzeszowa z miejscowości Kraczkowa.

— Moja droga ściekawa — mówi Adam — skończyłem szkołę w swojej wsi, potem w mieście liceum ogólnokształcące, potem AGH, praktykowałem tutaj i tu przyszedłem po studiach. Skończyłem budo to się ożeniłem, niedługo otrzymałem mieszkanie w blokach — żona jest wykładowcą w technikum hutniczym, ot i wszystko.



zakładu. Z boku pracują przy wykopach potężne spychacze i buldożery — wynoszą tysiące ton ziemi z miejsca, gdzie stanie nowy piec konwertorowy. Samych dróg asfaltowych jest tu 67 km, a kolejowych aż 246 km, mniej więcej tyle co z Łodzi do Krakowa. W hucie pracuje ponad 22 tys. ludzi nie licząc tych, co przy rozbudowie, bo ich zatrudnia już inne przedsiębiorstwo. Huta przynosi krajowi miliardowe zyski. Eksport obejmuje 43 kraje. Same zobowiązania z okazji IV Zjazdu partii opiewają na sumę 838 mln zł.

— Zarabiają na siebie nie tylko ludzie. Także nowoczesne maszyny, które są w stanie zwielokrotnić ich trud — mówi Adam. On wie najlepiej, jest inżynierem, absolwentem wydziału automatyki kra-

zami przytelepały na budowę, a huty nikt wtedy nie widział”. Kiedy to mówi, jest wyraźnie podenerwowany, tak jak większość z nich — nowohuckich pionierów, o których na przemian mówiło się bardzo dobrze i bardzo źle. A my jesteśmy normalni ludzie, zajeci trudną robotą” — mówi Marian, nie ma co wydziwiać.

Ale chyba jest co wydziwiać, kiedy się patrzy na tę dymiącą hutę i na to miasto, które leży szeroko w dolinie u podnóża wzniesienia na którym stoi teraz w dymie huta. Jest co wydziwiać nad wielkością i nad tym co tu jeszcze nie takie, jakie być powinno. Magister Sadowski, magister filologii polskiej, który niedawno obchodził 25-lecie pracy w hutnictwie patrzy ciepło na tłum opuszczający bramę zakładu. Poznał uczniów, których gniotł pytaniami w czasie egzaminów w szkołach huty i inżynierów, z którymi prowadził rozmowy i wywiady, bo on tu redaktor. Wydaje „Głos Nowej Huty”, „Biuletyn Informacyjny” — miesięcznik fachowy i jeszcze sporadyczne opracowania prasowe.

Sadowski rozmawia ze mną o Pigoniu i językoznawstwie, cytatem łacińskim przeplata rozmowę, ale stale jakoś zawraca do huty. Stary hutnik, który widział kilka przedwojennych hut dających chyba połowę produkcji Huty im. Lenina — mówi, że nie wyobrażał sobie huty, która mogłaby dawać taką produkcję. Ale dodaje — kiedy mówią o produkcji 8,5 mln ton, to po tym co tu widziałem, już się niczemu nie dziwię. Nabraliśmy w ciągu tych paru lat rozmachu. Mysł my hute budowali i ona nas tak jakoś dziwnie podbudowała. Czasem to wściekam się tylko na tych inżynierów, którym muszę przypominać że maszyny są dla ludzi, nie ludzie dla maszyn. W tym ukropie — niektórzy czasem zapominała. My humaniści musimy im o tym przypominać.

I choć garstka tych humanistów w hucie, przypominają się coraz skuteczniej. Oto z bram huty wleźdza kawalkada aptokarów. Ludzie prosto od warsztatów jada do lasu, na zieloną trawkę — wypoczywać. Nie będą wypoczywać zwracając — ledwie z nimi zęból artystyczny — będzie oniz czytelnicy. „Głos Nowej Huty” — waweta o nakładzie kilkunastu tysięcy egzemplarzy rozchodzi się bez zwrótów. Z autokarów dobiegają dźwięki instrumentów — słychać śpiew. Zmeczona zmiana jedzie wypoczywać.

Autokarv suna przez miasto — miasto, które piętnaście lat temu było miejscem na mapie — miasto kwiatów i dzieci i... rozwieszanej bielizny. Miasto nowych ludzi i dziwne — inne od wszystkich.

Autokarv suna przez miasto — miasto, które piętnaście lat temu było miejscem na mapie — miasto kwiatów i dzieci i... rozwieszanej bielizny. Miasto nowych ludzi i dziwne — inne od wszystkich.

ŁÓDZKIE XX-LECIE

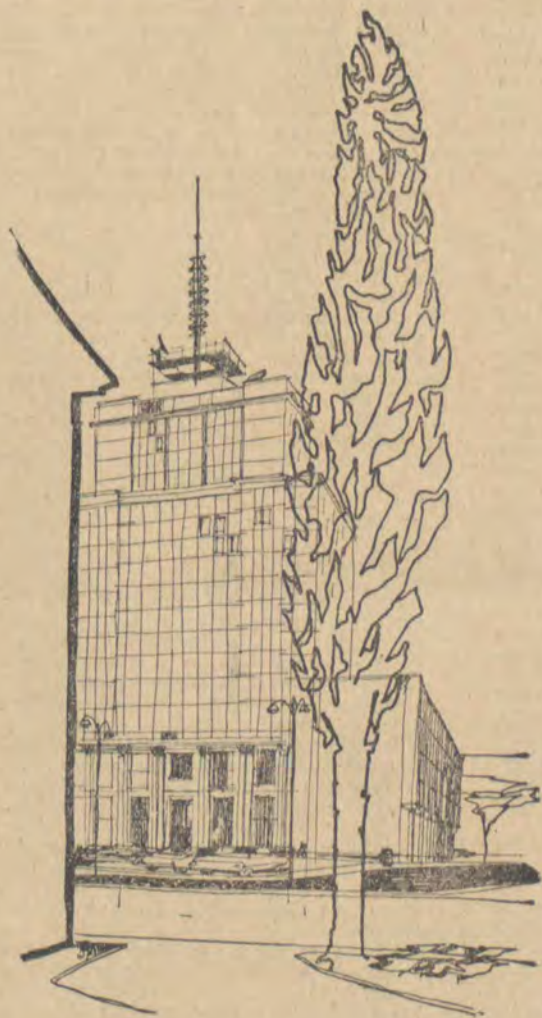
WIEŻOWIEC

MYŚL: Nie myślano jeszcze wtedy o telewizji. W wieżowcu zaprojektowanym u zbiegu ulic Narutowicza i Sienkiewicza miały mieścić się biura kilkunastu łódzkich instytucji. Dziś obiekt ten znany jest przede wszystkim jako studio TV.

DANE: Wysokość — 67 metrów. Waga konstrukcji stalowych — 500 ton. Powierzchnia pokoi biurowych — 10 000 metrów czyli 1 hektar. Budowę rozpoczęto w 1949 roku — zakończono w 1959. Wieżowiec jest najwyższym budynkiem naszego miasta — z szesnastego piętra widać podłódzkie miasta Pabianice i Aleksandrów.

PROJEKTANT: inż. arch. Jan Kruk.

RYSOWAŁ inż. arch. LE-SZEK LUKOŚ.



JOZEF H. WIŚNIEWSKI



METEOR POWIATOWY

Dalszy ciąg ze str. 1

nazwisko i wygląd) naraz, jako że tego się ostatnio nie praktykuje.

Publicysta N. (znany) chciał mnie wyrzucić przez okno ze swojego mieszkania, gdy przy szlemiku leżałem bez trzeźwości.

(Chlestał: „Z literatami często się widuję... Z Puzskim za pan brat! Często przy spotkaniu mówię mu: „Puzskin, bracie, no jak tam?” — „A no tak bracie — odpowiada — jakoś tego w ogóle”).

N. dziwnego, że w takiej sytuacji wszyscy chcieli znać Meteora, aby poprzez niego przybliżyć się chociaż trochę do wspaniałych postaci ministra, literata, publicysty, wielkiego aktora, ba, nawet sławnych nieboszczyków. Mógłbym zaryzykować twierdzenie, że Meteor spełnia w części rolę pozytywną, wywołując ambicje pięćcia się wzwyż, aż do szeptania intelektualnego, na którym to sam minister ścisła rękę wybitnej jednostce etc.

Meteor zabrał Wenus ze sobą (zadecydował: idziemy) i wyszedł z kawiarni, zostawiając nas kilku przy stoliku. Meteor w ich opowieściach zajął miejsce jeszcze wspanialszym blaskiem. Oto — opowiadali — pojawił się pierwszy raz w kawiarni i zaczął rysować karykatury. Kartki z rysunkami rzucał później przez ramię na podłogę, jak Henryk VIII kości dla psiarń. Ludzie kawiarniany podnosili, oglądali, i podziwiali. „Ależ to Fela, jak świetnie uchwycony!” Meteor miał szlachetne pasje ożywiania środowiska, wprowadzenia fermentu kulturalnego — w związku z czym postanowił urządzić swój wieczór autorski, liryki i satyry, w Powiatowym Domu Kultury. Gdybyż to Meteor był autorem... Alisi wiersze były pobierane z różnych tomików i czasopism, o czym biedni nieoblatani w pozycji mieszkańcy miasta W. nie zdążyli się jeszcze zorientować. W tym miejscu nasz bohater prześcignął już samego Chlestałowa, który wprawdzie opowiadał o tym, że napisał „Wesele Figara” ale nigdy nie recytował utworów Beaumarchais. Pewnie dlatego, że ich nie umiał na pamięć. Nasz bohater jednak wspaniale opanował wiele utworów rymowanych i dzięki temu wyprzedził Chlestałowa o dwie długości.

Aha, byłbym zapomniał! Meteor — jeszcze w mojej obecności wdał się w drobną utarczkę słowną z kelnerką, która zamiast malej, podała mu dużą czarną. „Ja was nauczę porządku — wołał — jak się powinno podawać kawę w porządnej kawiarni. Ja mam prawo, z gnoju wyciągnę!” I jak gdyby nigdy nie poinformował, że właśnie opracowuje plan urbanistyczny miasta W., to dla niego betka, już ma za sobą kilka planów przestrzennych, między innymi plan Piotrkowa. „Urbanistykę mam w małym palcu!”

(Ba, nie byłbym dziennikarzem, gdyby z tego przypadkowego spotkania w Wielkim Mieście nie zapamiętał, że Meteor ledwie zdał i to niedawno dyplom na architekturze i że był znanym hochsztaplerem i mitomanem. Ale zainteresowany tym, jak właściwie taki meteor działa na prowincji postanowiłem prowadzić grę dalej. W trakcie obserwacji zauważyłem, że polska prowincja spragniona jest hochsztaplerów, prestidigitatorów, atletów i iluzjonistów. Jednak).

II

Następnego dnia rano zatelefonowałem do Wenus. Nie była zdziwiona, widocznie przywykła do przyjmowania holdów, ale nie chciała się umówić. Postanowiłem wykorzystać legitymację służbową, wypowiedziałem magiczne słowo: wywiad!

Umówiła się, zastrzegła jednak, że nie w kawiarni „Róża”. Mam stanąć samochodem (dyskretnie) koło oszklonego PDT-u.

Co teraz będzie robił Meteor? Jeśli Wenus nie traktuje go serio — to go nie powiadomi o moim telefonie. Jeśli natomiast Meteor ją interesuje poważnie — niechybnie go poinformuje. Wówczas Meteor będzie miał stracha. Przede wszystkim będzie się bał, czy

przypadkiem nie zechcę ukazać pannie Wenus jego prawdziwego portretu. Będzie jej pilnował.

Koło samochodu zamigotała biała, barankowa czapeczka Wenus i brunatny miś Meteora. „Czy pan nie miałby nic przeciwko temu, gdybym uczestniczył w tym wywiadzie?” — zaczął. Odpaliłem z miejsca: „Wolałbym nie!” Meteor zataił się ze zdenerwowania koło auta, widziałem przez szparę w otwartych drzwiach jak nerwowo podskakiwał jego buty po trotuarze (trzechotałem wewnątrz siebie jak wariat). „To ja się nie zgadzam. Odchodzę.” Wenus jednak w tym momencie zawałała się. Nie poszła za nim. Uśmiechała się z zadowoleniem. „Wybieraj” — wrzeszczał Meteor. A do mnie: „Pan mnie jednak nie docenił, jestem podwójnie przewidujący!”

„Drogi panie, wyrosłem z tych lat, kiedy się podrywało na legitymację prasową”.

Skapitulował już w duchu. Zagadał przymilnie:

„A jeśli przy tym wywiadzie będę milczącym świadkiem?”

Powiedziałem stanowczo:

„Ale ani słowa? Milczy pan jak grób?”

Wyraził zgodę.

Kelnerka w kawiarni „Róża” była zdziwiona. Nie dalek jak przed 10-cio minucami pytałem o Meteora, a teraz się z nim pojawiam. Opowiedział mi kelnerka: „On trochę jakby pomylony. Mówił, że miał wypadek samochodowy i odtąd taki nerwowo”. Bała się teraz, że powtórzy tę opinię bohaterowi. Ba!

Wic zaczął się wywiad z panną Wenus. Meteor oczywiście nie dotrzymał słowa — bo zaczął podpowiadać. „Powiedz, że tato ukończył Wawelberga i masz 200 tysięcy posagu oraz auto...” Dziewczę potwierdziło. Poza tym dowiedziałem się, że w miasteczku W. jeśli się widzi dwoje młodych ludzi pić obójka, chodzących ze sobą ponad tydzień — opinia uznaje, że wkrótce ślub. Z tego tytułu kilkanaście razy panna Wenus wstępowała w ich oczach na ślubny kobierzec — a teraz, rzecz jasna, wstępuje tamże z Meteorem, jako że chodzą z sobą już cztery miesiące.

(Bóbczyński z „Rewizora”: „Mam zaszczyt powinszować! Panią spotka wielkie, wielkie szczęście! W złotych sukniach będzie pani chodzić i różne delikatne zupy będzie pani jadła!”)

Wenus powiedziała mi, że jej elegancja, dobry gust (ubiera się istotnie dobrze), co jak i czas wywołują ciągłe komentarze mas teczka. Jej uroda powoduje, że co chwila dzwoni telefon i ktoś pragnie z panną Wenus się spotkać. Ale panna Wenus zadziera nosa wobec miejscowych, pragnie naprawę interesującej konwersacji, człowieka wysokiej kultury i inteligencji. Powiadają więc, że zadziera nosa. Na zabawy nie chodzi — jakiś brydż w prywatnym kółku dobrych znajomych. Z zawodu jest kosmetyczką i prowadzi gabinet w miejscowej spółdzielni fryzjerskiej, oczywiście w tym miejscu też odbiera holdy panów i mnóstwo komplementów od klientek. Nie skończyła wyższych studiów, była na wydziale operatorskim Wyższej Szkoły Filmowej, potem chciała na Prawo. Skończyła szkołę kosmetyczką.

Mający milczeć jak grobowiec indyjski Meteor się wtrąca: „Skończyłabyś studia, gdyby nie nadmierne powodzenie...”

Wenus protestuje, tłumaczy, że chciałaby jeszcze studiować. W tym celu musi koniecznie do Wielkiego Miasta, tylko stąd się wyrwać. Bo tu nudno.

Pytam więc: „A co pani chciałaby studiować?” Odpowiedź jest szczerą i szybka: „Języki”. Nie wiedziałem, że uczyć się języków w epoce lingwafonu dostępnego w każdej księgarni trzeba koniecznie w Wielkim Mieście. Wiem natomiast, dlaczego Wenus pragnie uczyć się koniecznie języków.

Meteor w każdej rozmowie nie omieszka wtrącić niby od niechcenia, ale ze szczególną akcentacją informacją: „bo w lutym byłem na Kongresie Urbanistów w Jugosławii”, a w grudniu „bawilem w Paryżu”, w Syl-

westra nie mogłem przyjechać, bo miałem pogrzeb stryja. „Pan wie, ten profesor Akademii w K.” (Oczywiście, wiem, że profesor Akademii w K. zmarł, ale w konsekwencji nie wierzę. Jedna litera w nazwisku się nie zgadza. Podobnie w pokrewieństwo ze znanym konstruktorem raket, także jego bratem, znanym aktorem — jest czystym wymysłem jak to później sprawdziłem... Dajmy spokój rodzinnym konseksjom Meteora, wysanym z palca w kawiarni „Róża”. Ale Jugosławia, Paryż?)

Meteor ma metodę niezawodną. „Wyjeżdżam do Paryża!” — opowiada wszystkim wokół i — znika. Z Paryża przychodzi od niego pocztówka. Metoda częściowo została już rozszyfrowana, ale niezupełnie. Jest to jedna z najgenialniejszych mistyfikacji Meteora. W owoch musujących szampanem, urzekających atmosferą piwnic Saint Germain i intelektualnego strip-teasu czasach paryskich widziano Meteora w podrzędnej łódzkiej kawiarni. Geniusz... Drugie wcielenie barona d'Ormesana z apollinariowskiej opowieści o człowieku, który pojawiał się w tym samym czasie w różnych miejscach (Patrz Guillaume Apollinaire: Heretyk i ska).

III

Istotnie, ma Meteor wysokie parantele literackie. Mówi płynnie bez przerwy, godzinami potrafi. Czasami zabrze w jakiś śpepy zaulek, wówczas nie potrafi się z niego wydobyć, brnie, moczy się. Tutaj inteligencja zawodzi. Teraz jednak pragnie dodać kilka słów, oczywiście jeśli ja pozwolę, on bowiem (Meteor) studiuje również socjologię i ma kilka spostrzeżeń natury socjologicznej do zagadnienia, więc jeśli... Pozwalam uprzejmie.

Chciałem panu wyjaśnić, dlaczego tak się zachowałem przy samochodzie. Gdyby pana zobaczono w towarzystwie panny Wenus w kawiarni — to byłoby fatalnie. Wówczas całe miasteczko mówiłoby, że ona mnie już rzuciła i teraz nowy człowiek z „wielkiego świata”. No, dajmy temu spokój, bardzo pana przepraszam. Nie ma to jak „Jaszczury” w Krakowie. Wprawdzie tam znowu jakaś dziwna atmosfera, napisałem taką satyrę, a raczej rejestr wrażeń z „Jaszczurów”...

(Tu następuje recytacja wiersza jednego z młodych poetów, w każdym razie nie autorstwa Meteora. Pyta mnie jednak Meteor o zdanie. „Wcale nie!” — powiadam powściągliwie. Dziwi się, że tak konwencjonalnie odpowiadam. A nie chciało mi się znowu demaskować plagiatu...)

Co tutaj? Dancung w „Róży”, można dostać w ucho. A na ulicy mogą panu zbici cztery litery. Już na mnie raz się rzucili. Ale ja znam dżudo, jednego rozłożyłem, potem drugiego, trzeci uciekł. Tak... Co tutaj? W hotelu zainstalował się sutener z Wrocławia. Wberwał dziewczynki na prostytucję. Opowiadał jak wygrał w „blachy” 17 tysięcy w Bolesławcu, rzucił w kawiarni setkami i zgromadził koło siebie tłumek dziewcząt. Z drugim szczeniakiem ciągnął dziewczęta „na chatę” a potem proponował mieszkanie we Wrocławiu... Z tym, że będą uprawiać wiadomy zawód. Różne tu są dziewczyny. Nawet intelektualistki. Jedna mówiła, że mnie kocha i życie sobie odbierze, a potem się upiła i została na noc u jednego lekarza. Fakt, że chodzę z panną Wenus od czterech miesięcy jest tutaj wszystkim solą w oku. Są intrzygi. Koleżanka powiedziała jej: „On jest żonaty”. No, powiedz...

Panna Wenus dopowiada. Ze o północy są telefony. Albo — najczęściej się nikt nie odzywa, albo pyta ją: „Czy można prosić pana architekta?”

Przełatał milcząc jak grobowiec, jest znowu w swojej roli, biega, podnosi głos, fantazjuje, Belgady i Budapeszty, Paryż i Londyn. Aktorzy i autorzy mieszają się w wielkiej rzeczy wymowy, która mogłaby poruszać turbiny Rożnowa, tak jest bystra, silna i wodnista. Mam okazję podziwiać recytacje nowych wierszy. Jest pewny, że wygrał, że go nie rozszyfrowałem, że jestem łepy cymbał, a on się teraz moim kosztem zabawi. Ładuje mi wiersze ze „Szpilek” — bodaj Brzeziński, pamiętam w którym miejscu był drukowany — o morderstwach, potem jeszcze coś. Każde z innej parafii. Podkreśla jeszcze, że studia skończył w Warszawie, ale zna doskonale dziekana architektury w Krakowie.

Telefonowałem do dziekana. „Dopuszcziliście może nabyć pochopnie do dyplomu. Bo za pierwszym razem przyniósł lustrzane odbicie projektu kolegi jako swoją pracę. I może byłby nie skończył studiów... Ale raz wracam do domu i widzę... Stoi pod drzwiami z workiem. „Co pan tu robi?” „Flaszki zbieram. Nie mam z czego żyć.” — powiada. Ta jakaś szczerze wrzuciła mnie ogromnie i postanowiłam mu pomóc...”

Szlachetny dziekan dał się nabrać na jeden z genialnych chwytów hochsztaplera.

Gratuluję pani Wenus. Będzie pani w złotych sukniach chodzić i różne delikatne zupy będzie pani jadła...

* * *

Ba, dlaczego się zabieram do krytyki prowincjonalnych hochsztaplerów? Może — skoro nikt na miejscu nie wystąpi przeciwko nim — oni tam są potrzebni? Może na takich facetów tam oczekiwano? Może miałem zakończyć inną pointą: każdy ma takiego Meteora, na jakiego go stać.

Jednak w czasach, kiedy hochsztaplerów i mitomanów widać nam przybywa — a łatwowierni rodacy dają im nieograniczony kredyt zaufania, historyjka z miasta W. może być wielce pouczająca.

Sądzą przy tym, iż jest zabawna. Aczkolwiek powtórzyłbym tutaj okrzyk horodniczego: „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!” Tudzież objaśnienie Gogola:

(Słowa te rząż jak piorunem wszystkich obecnych — okrzyk zdumienia wyrwa się z ust pań — wszystko przegrupowało się błyskawicznie i pozostaje jak skamieniałe).

A może nieprawda?

JANUSZ ROSZKO

KODZIANIE



ZYGMUNT DZIEDZIC

— A więc udało się panu „wyskoczyć” na tydzień z Kenii do Abisynii.

— Do Etiopii, proszę pani, do Etiopii. Abisyńczy bardzo nie lubią kiedy o ich kraju mówi się Abisynia. To z arabska, oznacza... zbierania. Etiopia jest nowszą nazwą kraju, pochodzi od greckiego ethiops — znaczy dosłownie: brunatna twarz. Tej nazwy tubylcy używają najczęściej.

— Gdzie w Etiopii udzielił panu gościny?

— W Addis Abebie, naturalnie. Zaraz pierwszego dnia miałem kolosalne kłopoty, bo ośmieliłem się zrobić zdjęcie domu w centrum miasta. Dom przypominał rozpadający się barak, a z jego ścian wyrastała jakaś bujna roślinność. Podbiegli do mnie jacyś młodzi ludzie, potem jeszcze jeden podjechał na koniu i zaczął wyręczać mi z rąk aparat. Dopiero moi przyjaciele, kiedy wróciłem do domu wyjaśnili całą zagadkę. Otóż mieszkańcy Etiopii bardzo nie lubią kiedy fotografuje się ich miejscowy folklor. Europejczyk tenże „folklor” nazwałby po prostu bieda, albo delikatniej — prymitywem.

— Czyta się w licznych opowieściach podróżniczych, że Etiopia jest krajem bardzo nieczystym. Czymże więc tłumaczy fakt znakomitej kondycji fizycznej tamtejszych ludzi, fakt niestnienia żadnych prawie chorób trapiących mieszkańców wysocy cywilizowanych krajów?

— Położenie geograficzne. Oto cała tajemnica. Stolica Etiopii położona jest prawie 2,5 tys. metrów nad poziomem morza, a cały kraj korzysta z dobrodziejstw wysokogórskiego nasłonecznienia.

— Czy to prawda, że mała czarna, którą zwykliśmy pijać codziennie, wzięła swoją nazwę właśnie w Etiopii?

— Nawet na pewno. Etiopia eksportuje astronomiczne ilości tych czarno-brunatnych ziarenek, kupowanych dziś na całym świecie. A używana w różnych krajach i w różnych odmianach nazwa: kawa — pochodzi od nazwy abisyńskiego miasta Kaffa.

— Krąży całe legendy na temat życia towarzyskiego w Addis Abebie.

— Bo też jest ono niezwykłe. Mieszkańcy tego kraju zaproszeni na obiad zapominają czasem przyjść i oczywiście nie usprawiedliwiają potem swojej nieobecności. Szczególnie dużo zamieszania stwarza to w tzw. życiu dyplomatycznym.

— Co z pobytu w Etiopii najdłużej będzie Pan pamiętał?

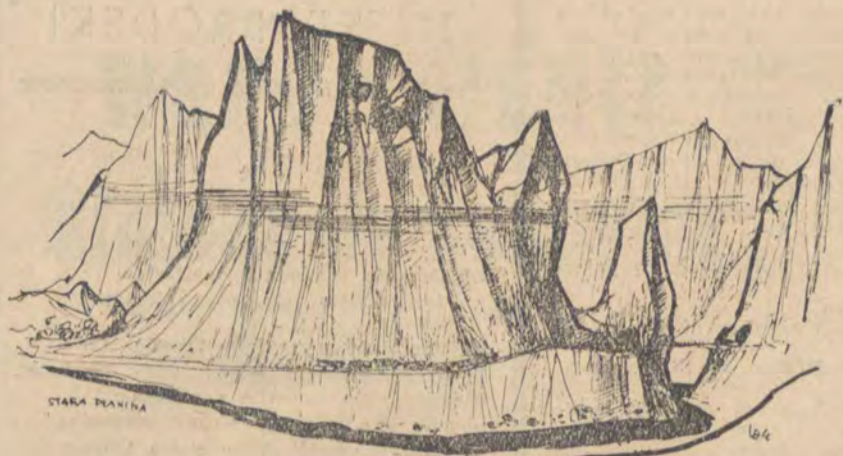
— Czerwony księżyc, niebieskie gęsi i diamenty z tuszu.

— Pan żartuje.

— Wcale nie. Kiedy w Etiopii jest okres pełni księżyca, ten opiewany w licznych piosenkach lirycznych „srebrny niebios wędrowiec”, staje się ogromną czerwoną kulą. Gęsi są naprawdę niebieskie. Ale tylko tam. Podobno nigdzie więcej w świecie podobnych ptaków spotkać nie można. A diamenty z tuszu? To oczywiście żartobliwie powiedziane — ale też prawda. Otóż bardzo bogate damy każą sobie robić tatuaż na rękach i szyjach. Tatuaż wykonany jest w ten sposób, że do złudzenia imituje... naszyjnik i bransolety drogich kamieni.

Rozmawiała:
H. B.

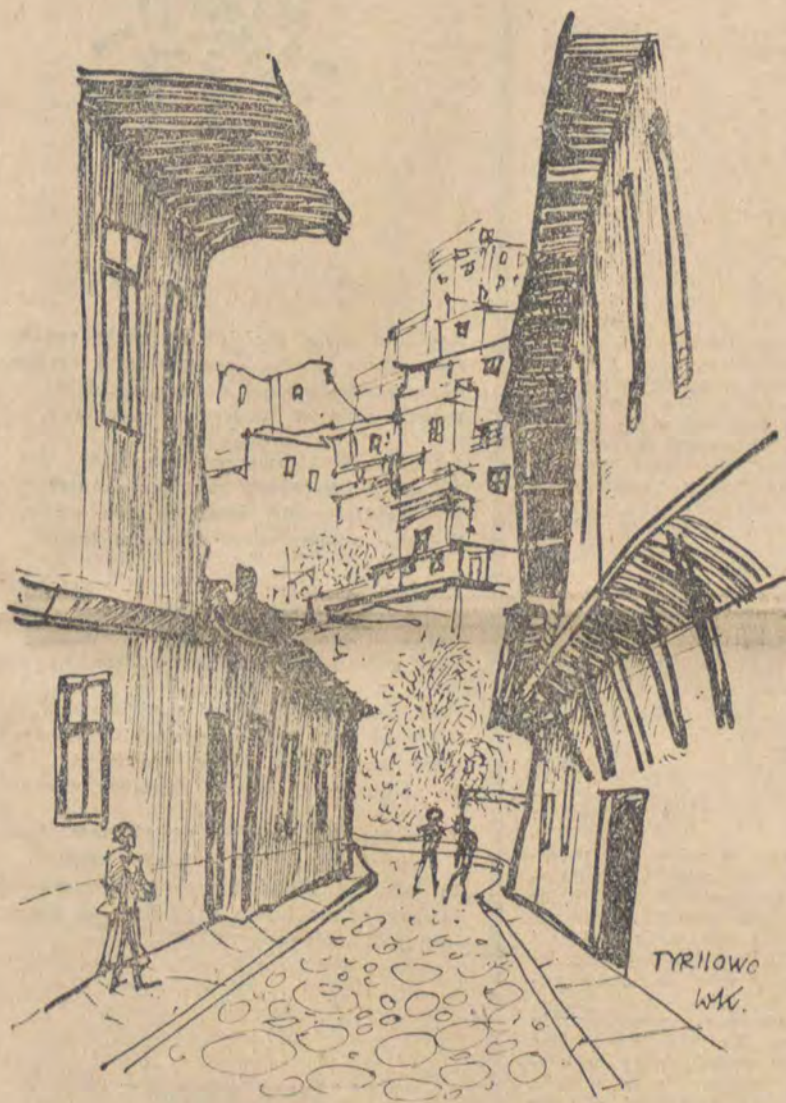
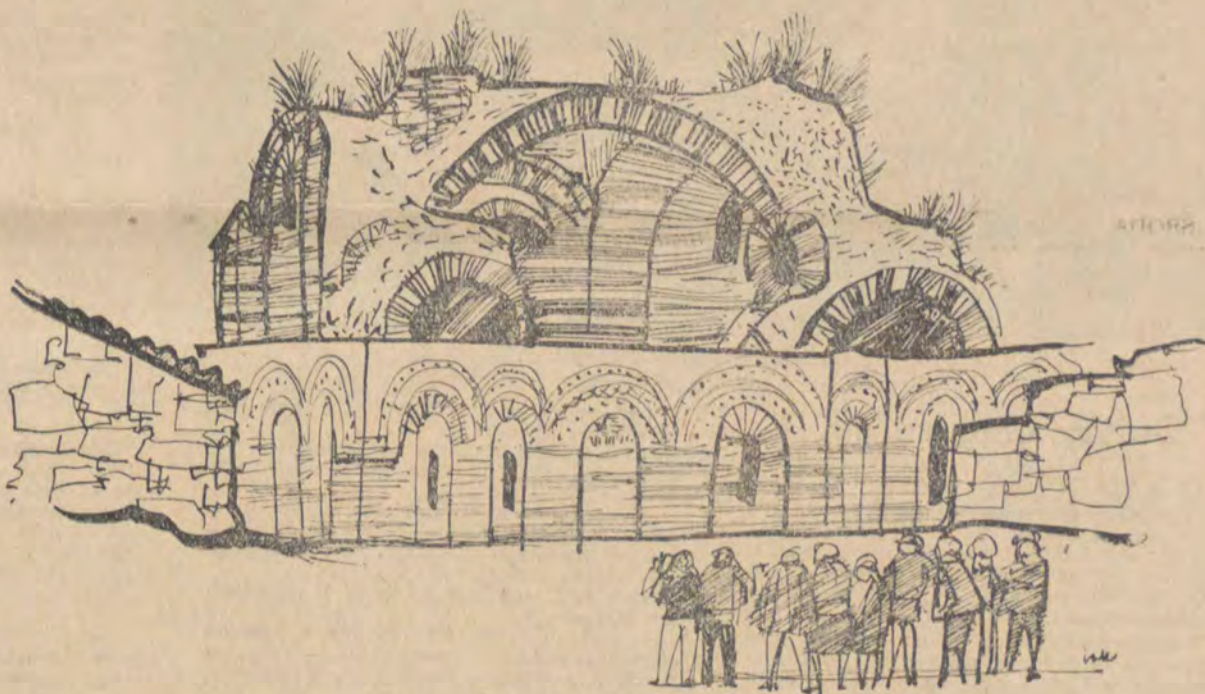
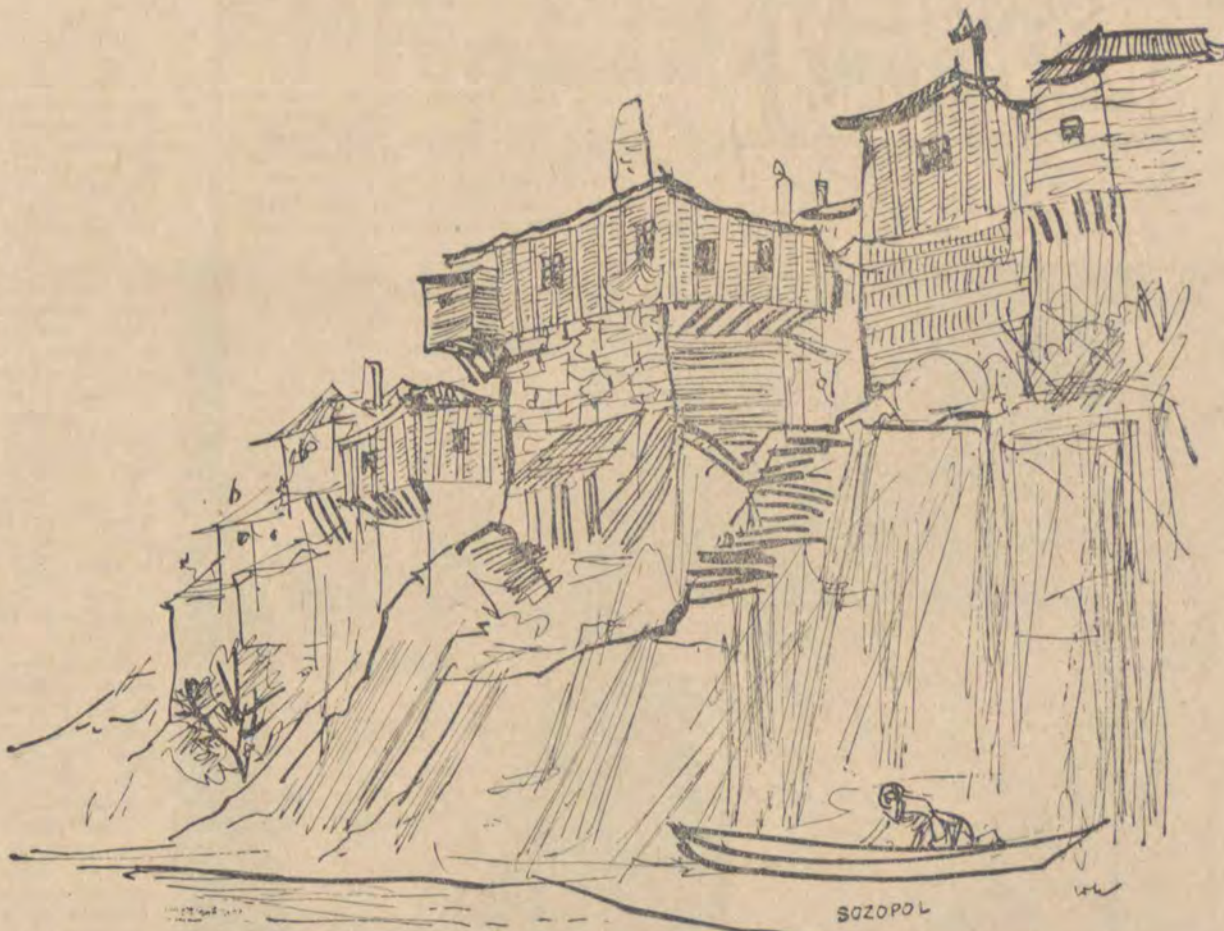
STARA BULGARIA



WACŁAW KONDEK, dobrze znany naszym Czytelnikom łódzki artysta-plastyk, wrócił ostatnio ze słonecznej Bułgarii. Plon tej podróży — jak na polskiego turystę — jest dość niezwykły: to nie kożuszek i nie z tak zwanych „zakupów”. Zamiast nich Wacław Kondęk przywiózł z Bułgarii tekę rysunków, utrwalając w ten sposób wrażenia tej pięknej podróży. Szczególnie zainteresowały Kondęka bizantyjskie tradycje w malarstwie i architekturze Bułgarii. Wiemy, że to nie

przypadek. Artysta właśnie w tych źródłach już i uprzednio szukał nieraz inspiracji dla swej twórczości. Zapewne właśnie teraz, po długich wędrówkach szlakami Rodopów i Wybrzeża Czarnomorskiego i bezpośrednim kontakcie z malarstwem starych monastyrów, silniej jeszcze niż dotąd odczuwa się te wpływy w własnych pracach Wacława Kondęka.

A narazie przedstawiamy naszym Czytelnikom parę jego szkiców z cyklu „Stara Bułgaria”.



Notatnik KULTU RALNY

29. VI. — 5. VII. 64 R.

PIĄTEK

— Poproszę pół kilograma cukru i „Sennik współczesny” Konwickiego.

Takie rozmowy usłyszeć można nie tylko w wielu osadach, ale sporych miastach województwa. Sprzedają książki zajmują się bowiem w naszym województwie 43 księgarnie „Domu Książki”, około 730 kiosków i punktów sprzedaży „Ruchu”, 496 kolporterów i 154 sklepy GS.

W sklepach tych brak odpowiednich gablot, półek, czasem miejsca na

książki. Do wyjątków należy sprzedawca orientujący się w wydawniczych nowościach i treści książek. Nierzadko dochodzi do takich rozmów:

— Proszę pana, czy są „Listy do pani Z.” Brandysa — pyta klient.

— U nas? — odpowiada sprzedawca. — Niech pan idzie na pocztę.

WTOREK

Kutno. Spotkałem kolegę z uniwersytetu. Po wymianie 4 podstawowych pytań (Gdzie pracujesz? Ile zarabiasz? Czy się ożeniłeś? Czy masz dzieci?) zaczął skarżyć się na lekceważenie tzw. prowincji przez lekką muzę. Z potoku przykładów utkwili mi w pamięci szczególnie drastyczny.

Nie tak dawno bawił w Kutnie cyrk. Na premierę sprzedano połowiną ilość biletów. Ten nadprogramowy numer — rozśmieszył jedynie dyr. cyrku.

Nie był to odosobniony głos w tej materii. Swojego czasu między innymi w Wieluniu oburzano się na pewien znany zespół big-beatowy, który tuż po występach w paryskiej „Olimpii” — dał koncert w Wieluniu. Muzycy na estradzie zataczali się lekko — nie było to, nie-

stety, tylko upojenie za granicą.

SRODA

Nowe Miasto. W małym, ciasnym, jednoizbowym lokalu PTT-K urządzone muzeum. W gablotach monety greckie, rzymskie, austriackie i pruskie, zęby mamuta, toporki z okresu brązu, wypalone z gliny słowiańskie piszczałki sygnałowe, powstańcze szablę i napoleońskie bagnety — wszystko zebrane przez młodzież. Pan St. Tkacz — opiekun muzeum i miłośnik historii — pokazuje kronikę miasta — opracowaną pod jego kierunkiem również przez młodzież.

Pan St. Tkacz nie jest wyjątkiem. Podobnych kronikarzy rozmaitych w historii swojej osady czy miasta, wytrwale i cierpliwie zbierających wszelkie informacje i zdarzenia historyczne, odnoszące się do ich rodzinnych miejscowości mają: Zduńska Wola, Bolimów, Bedków, Tomaszów Maz., Rawa Maz. Na pewno warto zainteresować się ich pracą — jako, że kapryśna opieka muzy historii nie wystarczy.

CZWARTEK

Lipiny. Po wsi gruchnela wieść. Przyjechało

kino! Dziś wszystkie drogi prowadzą do świetlicy OSP — gdzie zainstalowano projektor, jednego z 24 kin ruchomych, krążących po województwie.

Obok kin objazdowych mamy w naszym województwie 44 kina miejskie o 11.677 miejscach, 36 kin wiejskich stałych z 4.107 miejscami, 33 idna półstałe z 3.772 miejscami. Rozmieszczenie kin jest w terenie nieproporcjonalne. O zachodzących dysproporcjach świadczy ilość miejsc na 1 tys. mieszkańców. Średnia dla województwa wynosi 9,2. Najniższy wskaźnik mają powiaty: poddębicki — 2, pajczański — 2,2, bełchatowski — 2,7.

Mieszkańcy województwa wolają ciągle o częstsze wyświetlanie filmów. Tymczasem liczba miejscowości, do których dociera film ciągle się zmniejsza: np. 1960 r. — wyświetlono filmy w 2.981 miejscowościach, a w r. 1963 tylko w 2.697.

Właściciele sal i świetlic głównie OSP, niestety, nie dbają o nie, po jakimś czasie świetlice nie odpowiadają warunkom, w jakich winny odbywać się filmowe projekcje. Ta paląca sprawa chyba powinna być również dostrzeżona przez strażaków.

PIĄTEK

Zgierz. Na mapie oświetlowej niczym na mapie pogody ścierają się dwie izobary. Wyż jakiej obejmują młodzież w szkołach podstawowych i średnich oraz niż, którym objęta jest oświata dorosłych. Jak wiadomo uchwała Rady Ministrów nr 801 nałożyła na pracowników do lat 33 zatrudnionych w gospodarce narodowej obowiązek uzupełnienia wykształcenia podstawowego. Powszechny spis dokonany w 1960 r. wykazał, że na terenie naszego województwa 34.218 osób winno się uczyć.

Przeprowadzona w br. z inicjatywy WK Zw. Zaw. kontrola społeczna w 285 wybranych zakładach wykazała, że 101 zakładów nie interesuje się wcale tym problemem, a liczba szkół dla dorosłych zmniejszyła się o 3.

Jednak na tej mapie niżej notujemy lokalne przejaśnienia w Woli Krzysztoporskiej, Zgierzu, Ozorkowie i nad Huta „Hortensja” w Piotrkowie Trybunalskim.

SOBOTA

„Słownik Języka Polskiego” (WP 1938 r.) wyraz „chata” — określa jako „podłużną, pięcion-

bukę pszenną, często stódką”.

W potocznym języku znaczy co innego. O tym jak smakuje „chata” w tym drugim znaczeniu wie dą dobrze mieszkańcy licznych osad i miasteczek. Na pewno określiłby ją jako gorzki niewypiek — którym czstują ich różne zespoły, najczęściej reprezentujące wysoką sztukę naciągania.

Wydział Kultury Prez. Woj. RN prowadził z kims energiczną walkę — głównie w oparciu o 3-stronkowy wykaz osób, z którymi nie należy zawierać umów o występy. Sporządzony przez Ministerstwo Kultury.

Ow list gości obejmujący 250 nazwisk, na szczęście nie widnieją w nim nazwiska łodzian.

NIEDZIELA

Nieborów, Arkadia. Jak co niedzielę setki ludzi zorganizowanych w kilkuosobowe wycieczki oraz indywidualni turyści. Kiedy wysłuchają koncertu w Żelazowej Woli, zobaczą Nieborów i Arkadię, czyli zaspokoja kulturalne potrzeby, rozglądają się za strawą dla ciała, wszak Mazurek Chopina prozajcznego głodu nie zaspokaja. Rozglądają się tak od lat. I co? I nie.

Hemingway: Moje paryskie wspomnienia



restauracyjnym i wypłem butelkę St. Emilion, i pomyślałem, że jeśli nawet byłem przekleśnym głupcem przyjmując propozycję podróży, za którą miał płacić ktoś inny, i wydając pieniądze, które moja żona, Hadley i ja potrzebujemy na wyjazd do Hiszpanii, jest to dla mnie tylko dobrą nauką. Później cieszyłem się, że dałem sobie radę z moimi humorami na początku i że złość teraz zupełnie mnie opuściła. Nie była to podróż dla człowieka, który łatwo wpada w gniew.

W Lyonie dowiedziałem się, że Scott wyjechał z Paryża, ale nie powiedział gdzie się zatrzyma. Potwierdziłem mój adres w Lyonie i służąca obiecała, że przekaże mu go, jeśli tylko zadzwoni. Telefonowałem do wszystkich hoteli zostawiając wiadomość, lecz nie mogłem go znaleźć.



Hemingway w latach paryskich

Dalszy ciąg ze str. 1

Wszystkie te szczegóły razem wzięte nie powinny się składać na ładną twarz; piękno jej wynikało z barwności, z tych bardzo jasnych włosów i ust. Usta niepokoiły, dopóki go nie poznałeś. A potem niepokoiły jeszcze bardziej.

Scott powiedział mi, że on i Zelda, jego żona, na skutek złej pogody byli zmuszeni porzucić w Lyonie swój mały Renault i zapytał, czy nie zechciałbym pojechać z nim pociągiem do Lyonu, zabrać samochód i wrócić nim do Paryża.

Ustailiśmy, że do Lyonu wyjedziemy rannym ekspresem. Mieliśmy sprawdzić samochód, a jeśli będzie w dobrym stanie, zjeść kolację i wczesnym rankiem wyruszyć w kierunku Paryża.

Projekt podróży przyjąłem z entuzjazmem. Miałbym za towarzysza starszego, znanego pisarza i w czasie rozmów prowadzonych w samochodzie z pewnością dowiedziałbym się wielu rzeczy, o których warto wiedzieć. Dziwnie się to teraz wydaje, wspomnieć, że myślałem o Scottie jako o pisarzu starszej generacji, ale w tym okresie, kiedy nie przeczytałem jeszcze „Wielkiego Gatsby” sądziłem, że jest znacznie starszym pisarzem.

Tego ranka, kiedy mieliśmy wyjechać, przybyłem na Gare de Lyon dużo wcześniej i czekałem na Scotta przed wejściem na perony. Miał przynieść bilety. Gdy zbliżyła się godzina odjazdu i nie przychodził, kupiłem peronówkę i spacerując wzdłuż wagonów szukałem go wzrokiem. Nie dostrzegłem go, i gdy długi pociąg miał już ruszyć, wsiałem i idąc przez wagony miałem jeszcze nadzieję, że jedzie.

Był to długi pociąg, lecz Scotta nie było. Wytłumaczyłem sytuację konduktorowi, zapłaciłem za bilet i zapytałem o najlepszy hotel w Lyonie. Nie było nic innego do zrobienia, jak zatelegrafować do Scotta z Dijon, podając adres hotelu, w którym będzie go oczekiwał. Prawdopodobnie nie otrzymał depeszy przed wyjazdem, lecz żona będzie mogła mu ją przekazać. Nigdy dotąd nie słyszałem, by dorosły mężczyzna spóźnił się na pociąg, lecz w tej podróży miałem nauczyć się wielu nowych rzeczy.

W owym czasie miałem wybuchowy temperament, ale gdy mineliśmy Montereau uspokoiłem się i udobruchałem na tyle, by móc rozkoszować się krajobrazem, a w południe zjadłem dobry lunch w wagonie

restauracyjnym i wypłem butelkę St. Emilion, i pomyślałem, że jeśli nawet byłem przekleśnym głupcem przyjmując propozycję podróży, za którą miał płacić ktoś inny, i wydając pieniądze, które moja żona, Hadley i ja potrzebujemy na wyjazd do Hiszpanii, jest to dla mnie tylko dobrą nauką. Później cieszyłem się, że dałem sobie radę z moimi humorami na początku i że złość teraz zupełnie mnie opuściła. Nie była to podróż dla człowieka, który łatwo wpada w gniew.

W Lyonie dowiedziałem się, że Scott wyjechał z Paryża, ale nie powiedział gdzie się zatrzyma. Potwierdziłem mój adres w Lyonie i służąca obiecała, że przekaże mu go, jeśli tylko zadzwoni. Telefonowałem do wszystkich hoteli zostawiając wiadomość, lecz nie mogłem go znaleźć.

Tego wieczora w hotelu nie było ani słówka od Scotta. Rano gołem się, gdy zadzwoniono z recepcji, że jest na dole gentelman, który pragnie mnie widzieć.

Proszę powiedział mi, by przyszedł na górę – powiedziałem gojąc się dalej i słuchając narastających odgłosów budzącego się miasta.

Scott nie przyszedł na górę i spotkałem go w recepcji.

Jest mi okropnie przykro z powodu tego zamieszania – powiedział. – Gdybym wiedział, w którym hotelu pan się zatrzyma, wszystko byłoby proste.

W porządku – powiedziałem. Mieliśmy długą podróż przed sobą i pragnąłem tylko spokoju. – Jakim pociągiem pan przyjechał?

– Tym, który szedł po pańskim. Bardzo wygodny pociąg i na dobrą sprawę mogliśmy nim przyjechać obaj.

– Czy jadł pan śniadanie?

– Jeszcze nie. Biegalem za panem po całym mieście.

– To wstyd. Czy nie powiedziano panu w domu, że jestem tutaj?

– Nie. Zeldą nie czuła się dobrze i prawdopodobnie nie powinienem był przyjechać. Cała ta dotychczasowa podróż jest nieszczęśliwa.

– Zjedźmy jakieś śniadanie, odszukajmy samochód i jazda – powiedziałem.

– Świetnie. Czy dadzą nam tu śniadanie?

– Szybcieliśmy w kafejce.

– Ale tu z pewnością dostaniemy dobre śniadanie.

– W porządku. Było to wielkie amerykańskie śniadanie z jajkami na szynek. Było bardzo dobre, lecz na zamówienie go, czekanie zjedzenie i czekanie na rachunek, stracił mi niomal godzinę.

Zapłaciłem za pokój w hotelu i posilek, jakkolwiek Scott chciał płacić za wszystko. Od początku podróży moje odczucia były bardzo złożone i wiedziałem, że tym lepiej będę się czuł, im częściej będę płacił za siebie.

ZATRZYMANI PRZEZ DESZCZ

W garażu, gdzie Scott zostawił samochód, stwierdziłem ze zdumieniem, że mały Renault nie posiada dachu. Uszkodzona go przy wylądowaniu w Marsylii i Zeldą kazala dach odciąć, nie zgadzając się na wstawienie innego. Scott powiedział mi, że jego żona nienawidzi zamkniętych wozów i takim samochodem bez dachu dojechał do Lyonu a tu zatrzymał ich deszcz.

Skądinąd Renault był we względny stan i Scott zapłacił rachunek sprzecząc się o poszczególne pozycje: za mycie, za smarowanie samochodu oraz za dolanie dwu litrów oleju. Mechanik powiedział, że jeśli mógłbym namówić monsieur na wymiame pierścieni w Paryżu, samochód, który jest dobrym małym samochodem, będzie służył jak nowy.

– Monsieur nie pozwolił mi wstawić dachu.

– Nie?

– Ktoś powinien zaopiekować się pojazdem.

– Ktoś powinien.

– Panowie nie mają nic nieprzemakalnego?

– Nie – powiedziałem – Nie wiedziałem nic o dachu.

– Niech pan spróbuje coś zrobić, by monsieur stał się poważniejszy. Choćby tylko w stosunku do samochodu.

– Ach! – powiedziałem.

Po godzinie jazdy, na północ od Lyonu, zatrzymał nas deszcz.

Tego dnia na skutek deszczu stawaliśmy około dziesięciu razy. Były to przełotne ulewy krótsze lub dłuższe. Gdybyśmy mieli płaszcze przeciwdeszczowe, może byłoby i przyjemnie jechać w tym wiosennym deszczu. W naszej sytuacji szukaliśmy schronienia pod drzewami, lub zatrzymywaliśmy się w przydrożnych kafejkach.

Z hotelu zabraliśmy cudowny lunch: doskonałego kurczaka z rusztu z truflami, świetny chleb i białe wino Maconnois, i Scott był bardzo szczęśliwy, gdy na każdym przystanku piliśmy białe Maconnois. W Macon kupiłem dodatkowo cztery butelki doskonałego wina, które odkorkowywałem w miarę potrzeby.

STRACH PRZED ŚMIERCIĄ

Nie jestem pewien, czy Scott kiedykolwiek przedtem pił wino z butelki i było to dla niego podniecające jak wędrowka przez slummsy, lub dla dziewczyny podniecająca jest pierwsza kaptel bez kostiumu. Jednakże wczesnym popołudniem zaczął się niepokoić swym zdrowiem.

Opowiedział mi o dwójgu ludziach, którzy niedawno zmarli na skutek przekrwienia płuc. Oboje zmarli we Włoszech i cała ta historia wywarła na nim duże wrażenie. Przynależem go więc do wyjęcia następnego lyka Maconnois, gdyż dobre białe wino, dość intensywne, ale o niskiej zawartości alkoholu, jest nieomal idealnym środkiem przeciw chorobom.

Scott chwilowo poweselał, lecz wkrótce znów oklapł i zapytał, czy dotrzemy do jakiegoś dużego miasta, zanim chwyci go gorączka i małki, które, jak mu poprzednio powiedziałem, są objawami prawdziwego przekrwienia płuc. Powiedziałem, że śpiesząc się, możemy być w mieście za 25 minut.

Wtedy Scott zapytał mnie, czy boję się umrzeć, a ja powiedziałem, że czasem bardziej, a czasem mniej.

Teraz zaczęło naprawdę lać i w następnej wsi schroniliśmy się w kafejce. Nie mogę sobie przypomnieć wszystkich szczegółów tamtego popołudnia, lecz kiedy znaleźliśmy się wreszcie w hotelu, prawdopodobnie w Chalons-sur-Saone, było już tak późno, że apteki były zamknięte.

Gdy tylko dostaliśmy pokój, Scott rozbrał się i poszedł do łóżka. Nie miał nic przeciwko temu, by umrzeć na przekrwienie płuc. Jedynie pozostawała kwestia, kto zaopiekuje się Zeldą i małym Scottym.

Nie bardzo wyobrażałem sobie, jak mógłbym się nimi opiekować, gdyż i tak miałem cholernie trudne życie dzięki mojej żonie Hadley i synkowi Bumbi, lecz powiedziałem, że zrobię co będę mógł i Scott podziękował mi. Powinilem dbać, by Zeldą nie pila i Scotty miał angielską gubernantkę.

Posłaliśmy nasze ubrania do wysuszenia i włożyliśmy piżamy. Na zewnątrz wciąż padał deszcz, lecz w pokoju przy zapalonym świetle elektrycznym było wesoło. Scott leżał w łóżku, by zachować siły do walki z chorobą. Sprawdziłem mu tętno, miał 72, i dotknąłem czoła, było chłodne. Osluchałem mu klatkę piersiową, każąc głęboko oddychać, była w porządku.

– Posuchaj, Scott – powiedziałem. – Jesteś całkowicie OK. Jeśli nie chcesz się przeziębnić, zostań lepiej w łóżku, a ja każę podać lemoniadę i whisky; weźmiesz aspirynę i bedziesz się czuł cudownie, i nawet nie dostaniesz kataru.

– To leki starych bab – powiedział Scott. – Nie masz żadnej gorączki. Jak u diabła masz dostać przekrwienia płuc bez gorączki?

– Nie klinj na mnie – powiedział Scott – Skąd wiesz, że nie mam gorączki?

– Masz normalne tętno i na dotyk nie masz temperatury.

– Na dotyk – Scott rzekł z goryczą. – Jeśli jesteś prawdziwym przyjacielem, postaraj się o termometr.

– Jestem w piżamie.

– Poślij kogoś.

Zadzwoniłem po służącego. Nie przyszedł, więc dzwoniłem dalej, a następnie zszedłem do hallu, by go poszukać. Scott leżał z zamkniętymi oczami, oddychając powoli, ostrożnie i z tą swoją woskową, twarzą o doskonałych rysach wyglądał jak mały, martwy krzyżowiec.

Czułem się już zmęczony tym literackim życiem, jeśli życie, które wiedłem, było życiem literackim i tęskniłem za pracą, i czułem śmiertelną samotność, jaka przychodzi pod koniec każdego straconego dnia w życiu. Byłem zmęczony Scottem i jego głupia komedia, ale znalazłem służącego i dałem mu pieniądze, by kupił termometr i folkę aspiryny, i kazałem przynieść dwie „citrons pressee” i dwie podwójne whisky.

Dokończenie w następnym numerze

Z ang. tłum. LECH UTRACKI

JÓZEF BRODSKI

przełożyła: EUGENIA SIEMASZKIEWICZ

Objąłem te ramiona i spojrzałem na to, co było tam, poza plecami.

Spostrzegłem wysunięte krzesło. Całe jakby wtopione w ścianę, gdzie błyskami, którymi siała żarówka z pułapu, plonęło światło z siłą wprost nieznosną dla starych mebli. Więc skóra kanapy polyskiwała miast brązem – żółtością. A stół był pusty, parkiet polyskiwał, piec ciemniał. W ramie, pod kurzu nalotem, zastygł krajobraz. Tylko kredens żywa wydawał mi się, czującą istotą. Miał, w pokoju krząca sprawił chyba, że wzrok mój wydarł się bezdusznym bryłem i jeśli widmo miało tu siedzibę, to porzuciło ten dom. Porzuciło.



Znużenie coraz częściej na mnie spada, lecz mówię o nim coraz mniej i rzadziej. Domorosłości w mej duszy pokładach! Pogoda miła w serdecznej gromadzie.

Jakież to ptaki tworzysz rozmaite? Komu je ofiarujesz, sprzedasz komu? We współczesności masz gniazda uwięte, i wedle współczesnego śpiewasz tonu.

Wróc duszo, pióro ze skrzydła wyzarpnij, niech dziś o sławie radio pieśń nam składa. Jakim ci życie wydało się, jakim, gdyś z lotu ptaka spojrzała tam, na dół?

Póki śnieg biały, jakby z nieistnienia, krąży po gzymsach zwyciężonych i prostych, ulico moja, rysuj śmierci scenę, ty ptaku mój, zysiec śpiewaj skwirem ostrym.

Ja sobie idę, a ty gdzieś tam lecisz i naszych utyskiwań już nie słyszysz. Ja żyję, ty gdzieś krzyczysz równocześnie i niespokojnie bijesz skrzydłem w ciszy.



Ogień – czy słyszysz? przygasać zaczyna, cienie po kątach stają się ruchliwsze, i już nie można wytknąć im ich winy, nagłym rozkazem obezwładnić chytrze. Do tej kohorty słowo nie dociera. Stanęły w czworoboku, w gotowości. W milczeniu krąg ich wciąż ciałniej się zwiara,

i oto jestem pośród nich. Ciemności eksplozja sięga wciąż wyżej i wyżej. Z dołu podobna jest do wykrzyknika, gęsta od góry. Powoli się zniża, sięga podbródka, papieru dotyka. Zegarek nie ma już nawet wskazówek i nawet jego tykania umilkły. Pozostał tylko błysk tęczyówek w oczach bez ruchu, bez ruchu zastygłych.

Zgasł ogień. Słyszysz: nie ma ni płomyka. Grzancy pod sufitem dym zagościł. Lecz błysk w tęczyówce wciąż z oczu nie znika, a mówiąc ściślej – nie znika z ciemności.

BAŁUCKIE, LIMFATYCZNE DZIECI...

Świat dziecka to zupełnie inna rzeczywistość niż społeczeństwo dorosłych. Odmieniają się w nim hierarchie, „surrealizują” proporcje. Bliżej stąd do murzyńskiej bajki, do magicznego zaklęcia, do ośnienia i tajemnicy. Mało kto dzisiaj posługuje się nim tylko po to, aby innymi słowami opowiedzieć sprawy świata dorosłych. Przeważnie dziecko-bohater, dzieło ko-narrator stara się nam obla-wić wartości, o których zapomnieliśmy, albo nawet nie zdążyli pomyśleć. Taką właśnie rolę powie-rzają do odegrania mitologii i za-dumom dzieciństwa Proust, Hesse czy Huxley. Oczy dziecka ukazują nam najczęściej świat w formie poematu, na wół lirycznej opowieści o fantastycznej istnieniu. Dziecko ko służy do odrealnienia rzeczywistości.

Niewiele z tego odnajdziemy u Chróścielewskiej. Nie znajdziemy tu żadnych głogów, mistycznych ostrokrzewów, żadnej „zielonej tajemnicy świata”. Przede wszystkim dlatego, że odmiennie, niż w tego rodzaju fabułach, nie wprowadzono tu dziecka wcale do sanktuarium przyrody, nie zapew-niono mu samotności, nie zezwono na swobodne snucie refleksji. Korona, córka robotnika z Łódzkiego przedmieścia jest otoczona

bez przerwy ludźmi i ich sprawa-mi. Właściwie nigdy nie jest sama. Rzecz dzieje się na podwórku, które Hieronim Michalski trafnie porównuje do greckiej agory. Przewijają się tu najrozmaitsi lu-dzie, przeważnie robotnicza, chłop-ska, lumpenproletariacka bieda. Jest także wiele dzieci platających nieustannie figle. Są też groźni go-scie: policjanci, szpicle.

Dziecko nie uznaje hierarchii dorosłych. To najbardziej oszala-miające odkrycie powieści dzieciecej wykorzystana Chróścielewska w całej pełni. Stary but w ryn-sztoku jest czymś uchwytniejszym i cenniejszym od strajku, bezrobo-cia, wojny. Toteż duża część epi-zodów z jakich składa się „Córka tego co tramwaje jego” (ojciec dziewczynki pracuje w warszta-tach tramwajowych) została poświęcona drobnym obserwacjom, kłopotom i nadziejom dziewczynki. Ale jeszcze większa periferiom jej świata, to znaczy problemom społecznym i politycznym jej czasu, międzywojennego dwudziestolecia. I tu autorka sprzeniewierza się kardynalnej zasadzie „do-rośłych powieści dziecięcych”. A do tej przecież kategorii książka należy. Akcja nie jest wcale wy-naczona przez własne sprawy

dziewczynki, ale przez wydarzenia dobiegające z „dorosłego” świata. Chróścielewska po prostu nie uznaje autonomii dziecięcego świata, który tak samo, jak wszelkie inne możliwe światy, podlega kano-nom socjologii.

Nie ma tu przy tym ani na włos tego, co nazywamy, często chyba niesłusznie ekspresjonizacją, liryzacją lub odrealnieniem. To świat całkowicie realny, pełen spraw-dzalnych wydarzeń. Refleksja dzie-cia jest niesłychanie uboga, ograni-cza się najczęściej do paradok-salnego komentarza, nie próbując i nie chcąc najwidoczniej próbo-wać wypadków w bardziej metafizy-czyczne regiony. Toteż książka Chróścielewskiej jest bez reszty społeczno-obyczajowa, buduje ją obfitość obserwacji i epizodów. A jest ich doprawdy ogromna obfi-tość.

Zastanawiałem się niedawno nad dziećmi współczesnej powieści amerykańskiej, Frankie z „Go-scia weselnego” Carson McCull-lera, nad bohaterami „Innych gło-sów” Capote’a. Jakże tamte dzie-ci są mądre! Nie należą przy tym do warstw szczególnie uprzywie-łowionych, ale potrafią przeżyć ca-ły dramat ludzkiej egzystencji, spętanie, bunt. Łódzkim dzieciom Chróścielewskie podobne doznania są całkiem niedostępne. Czy dzie-ci są tu młodsze, czy wchodzi tu w grę powojenna, niestety, nie-wydolność intelektualna naszej li-teratury? Ani jedno ani drugie, po prostu jedynie część książki wywodzi się rzeczywiście ze swiata dziecka, reszta jest zaszyfrowa-nym światem dorosłych.

Zupełny brak metafizycznych pokus stanowi i o siłę książki, czy dokładniej mówiąc o jej szcze-gółej ale niewątpliwie urodzie i wdzięku. Komentarze, jak wspomnieliśmy są nie metafizyczne lecz paradoksalne. W istocie też cała książka oparta jest na paradoksie, na opacznym rozumieniu wyda-rzeń. Uśmiechamy się kiedy dziec-

ko rozumuje, że jego ojciec komu-nista musiał się widocznie osobiście pokłócić z prezydentem, usmie-chamy się w dziesiątkach innych ustępów. Po wtóre język. Autor ka rezygnuje z języka literackiego, posługuje się prymitywnym i bardzo często ordynarnym języ-kiem przedmieścia. Rzadko widu-jemy go w tak wielkim stęzeniu. Córka ostrzega tu ojca przed po-biciem: „tatusiowi dofasoia”, są-siad odcina się: „całuję w pol-dupki i proszę o wzajemność i tak w nieskończoność.

Trudno oczywiście podobnym narzeczem zgłębiać zagadki bytu, ale Chróścielewska wcale nie sta-wiała sobie takiego zadania. Uka-zała nam po prostu niewesoły los biedy przedmiejskiej, jej życie, problemy, obrachunki, stosunki towarzyskie. Przede wszystkim — jej nędzę. I dopiero teraz obja-wia nam się w całej rozciągłości znaczenie dziecięcego sposobu widzenia, nazywania i komento-wania w tej książce. Przecież bez niego byłoby to po prostu ponury, naturalistyczny dokument, w któ-rym nielato było by odnaleźć iskrę wesołości. Natomiast w obec-nej postaci, mimo raczej nieweso-łej scenarii i samego tematu nie odczuwamy szczególnie szęego przy-gnębienia. Taką jest już energia i vitalność dziecka, jego defor-mującej wyobraźni, że zamiast placówkowych wspominków otrzymu-jemy książkę wesołą i nieledwie radosną.

Pod tym względem rzecz jest naprawdę udana. Mniej wierzę natomiast w jej zalety jako pró-by panoramy społecznej. Zapew-ne, i w tym względzie bywa ins-truktywna. Jej rewelacje jednak z tego zakresu nie wykraczają po-za rzeczy ogólnie znane. Co in-nego sama obyczajowość, gwara, wyobrażenia. Te ostatnie w mniej-szym stopniu. Ale skojarzenie bru-talności, dosadności i zarazem naiwności tego środowiska w ca-łości ze specyficzną dosadnością

i odmienną naiwnością dziecięcą sprawia, że „Córka tego, co tramwaje jego” jest książką i świeżą i interesującą. To także w niema-łym stopniu zasługa stylu, nasiadującego nieporadny, zarazem ab-surdalny i konsekwentny język i logikę dziecka. Oto próbkę z sa-mego wstępu: „Panu Olbińskiemu i pani Olbińskiej nie nie brakuje, tylko są biedni. Koło Irki mie-szka pani Nacka z mężem, ale bez dzieci, bo ich nie mają. Wszyst-kie domki mają daszki spadają-ce na podwórko, żeby nam pilka łatwo zlatywała na ziemię”, itd., itd.

A więc w sumie książka, z któ-rej zapewne niewiele można się nauczyć, ale którą czyta się lekko i z przyjemnością. Być może nie to leżało w intencjach autorki. Ale przyznam, że obiektywne pro-cesy historyczne schodzą tu jed-nak na plan dalszy, na pierwszym natomiast króluje fantazja dziec-ka i drobny, charakterystyczny szczegół. W sumie Chróścielewska dała nam naprawdę świeżą po-wieść rozrywkową. To też nie łatwa sztuka, trudniejsza niż mog-ło by się zdawać. Lepsze to z pewnością niż mętne „głębie”, w których nie ma nic prócz mętów.

Honorata Chróścielewska, „Córka tego, co tramwaje jego”. Wydawnictwo Łódzkie, 1964, s. 262.



SPÓR O PRAWO I JEGO BOHATEROWIE

Kto jest właściwie bohaterem tej książki? Czy sam tytułowy me-cenas, człowiek starego stylu i daty, czy narrator, stary inżynier, główny mechanik wielkich zakła-dów chemicznych, oskarżony o spowodowanie wypadku, w któ-rym zginęło czterech ludzi. Czy może być młodszy kolega, bezpo-sredni zwierzchnik zabitych robot-ników, sam „człowiek z nizin”? Albo też jego narzeczona, młoda lekarka. Bo postaci pretendują-cych do głównej roli jest tu wiele a ich wzajemne relacje są zawile i niejednoznaczne. Podobnie trud-no było by określić jedną formu-łą problematyki „Konferencji u mecenasów”. Krzyżują się różne sprawy, zagadnienia, warstwy zna-czeń.

Temat określić już łatwiej. Wy-darzyła się katastrofa, podczas eksperymentowania z nową me-todą produkcyjną. Inżynierowie, odpowiedzialni za całość, nie do-pelnili określonych, ale bez żadnego znaczenia praktycznego for-malności. Oskarżonych broni me-cenas Falski, który uważa, że jed-ynym skutecznym sposobem obro-ny jest przetrzymanie winy na oso-bę trzecią, w tym wypadku głuo-kowatego robotnika uwikłanego w cały wypadek. Mecenas oskar-za owego Falskiego — boksera o zbro-dnię z premedytacją, o świadomy sabotaż. Jego podopieczni uważa-ją to jednak za krzyżącą niespra-wiedliwość, zwłaszcza młodszy, Ta-borski. Już po rozprawie, niewini-mającej ich notabene, przycho-dzą do niego z wyrzutami, a Ta-borski potrąca nieostrożnie gip-sowy posąg Cyncerona i rozbija go. Oto wszystko.

Na pozór więc spór moralnej wrażliwości z obojętnością. Kon-flikt i odnaki jest o wiele rozleglej-szy. Antagoniści, mecenas i młody inżynier reprezentują dwa światy, dwa ustroje społeczne. Mecenas przeprowadzał ongiś eksmisje ta-

kich właśnie ludzi jak Taborski; więcej, usunął w ten sposób z mieszkania rodziców jego narzeczony, serdecznie go zresztą z tych i innych powodów nienawi-dzącej. Broniąc teraz klientów, broni tym samym ludzi własnej kasty i bez skrupułów obciąża pa-riasa: o to przynajmniej jest oskar-żony. Rymkiewicz zrobił rzeczy-wicie sporo, nie zawsze zresztą w zgodzie z innymi ustępami po-wieści, aby uprawomocnić ten za-rzut. Mecenas sportretowany zo-stał w arcydziełskim sosie, wśród starych mebli, w towarzystwie dwóch starych sióstr. Wy-wodzi się ze sfer ziemiańskich, jest wyniosły i pogardliwy. Wreszcie — stotnie w swoim czasie wy-stępował jako „narzędzie ucisku”.

Równocześnie jednak autor poz-wala i jemu wypowiedzieć własne racje. Mecenas odwołuje się do poglądu, że zadaniem adwokata nie jest dbałość o sumienie oskar-żonego, on przeprowadza jedynie skomplikowane zabiegi formalne, podczas gdy winna na dobrą sprawę i tak nie istnieje, gdyż zawsze obciąża raczej środowisko winnego, w szerokim sensie, niż je-go samego. Poza tym jest z urze-du zobowiązany do obrony klien-ta wszelkimi dostępnymi sposo-bami.

A więc spór dwóch systemów społecznych, dwóch moralności czy dwóch sposobów rozumienia pra-wa? Czy dylemat, albo też seria dylematów postawionych przez Rymkiewicza daje się w ogóle rozwiązać, i, nade wszystko, czy zostały one w istocie postawione poprawnie? Na razie zauważamy, że dociekania odnoszące się do istoty prawa możemy odnaleźć u wielkich pisarzy dwudziestowiecznych, i że należą one z reguły do najciemniejszych zagadek ich twórczości. Mam na myśli przede wszystkim Kafkę i Czapkę, ale poza nimi także forma procesu

należy do najpopularniejszych schematów powieści współczesnej. Jest to schemat symboliczny: proces wytacza się nie tyle ludziom co abstrakcyjnemu lub całej rzeczy-wistości. Rymkiewicz jednak nie ubóstwia ani nie fetyszyzuje pra-wa; przeciwnie, stwierdza ostry rozróżnienie między prawem a moral-nością i prawdą. Prawo jest u niego nade wszystko rytuałem, czy grą logiczną, toczoną na zu-pełnie innej płaszczyźnie rzeczy-wistości niż rzeczywiste ludzkie intencje i czyny. W pewnym mo-mentcie rozprawy mówi o kilku zupełnie niewspółmiernych ze so-bą prawdach stron, to zaś, co wy-daje się najistotniejsze osobom najbardziej zainteresowanym, nie ma tu żadnego znaczenia.

Rymkiewicz rozprawia się nie tylko z osobą samego mecenas-a Falskiego. Jest to wyraźnie po-stać „prześwitająca”, wygląda spo-za niego co chwila sam arcypra-wnik wiekuiętej palestry — Cyncero. Mecenas jest świadomym spadkobiercą, a stłuczenie posągu jest symboliczne i oznacza „zanikanie mecenasów w naszych czasach”. Przyznam, że chętnie podjąłbym się obrony sympatycznego prawni-ka. Przy czym, jeśli dobrze roz-umiem, stosunek Rymkiewicza do swojego bohatera nie jest bynajmniej tak nieprzychylny, jak by to mogło wynikać z poprzed-nich zdań. Przeciwnie, Falski to jedyny tutaj bohater tragiczny i jedyny zarazem myślący uczest-nik sporu. Bo atakujący go Ta-borski nie proponuje przecież jakiegoś innego rozwiązania. Obciąża-żanie Jasia — boksera go oburza, ale sam nie pali się bynajmniej do meczeństwa. Czy istnieje jak-ieś inne rozwiązanie dylematu — tego niestety Rymkiewicz nie napisał. W każdym razie odno-szę wrażenie, że bohaterowie po prostu nie rozumieją się nawza-jem.

Autor, mimo, że raczej stawia pytania niż na nie odpowiada, kaze swojemu pozytywnemu bo-haterowi, Taborskiemu, oburzać się na dyrekcję za usunięcie Ja-sia z pracy. Ale także Jasio rzeczy-wicie, jak się okazuje, był spraw-cą wypadku, tyle, że nieumyślnie. Co będzie, jeśli i następnym razem otworzy niewłaściwy za-wór? Prawda, że nie to interesuje mecenas, ale też między nimi a jego klientami panuje do-skonale niezrozumienie.

Zdaje się, Adamczewski zasta-nawiał się kiedyś nad etyką pi-sarską Prusa, nakazującą mu sprawiedliwe obdziałanie racjami moralnymi swoich postaci. Otóż i Rymkiewicz się o to stara, nie stosuje na pewno czarno-białego schematu. Ale światła padają nierówno, mimo, że nawet pozer-stwo mecenasa znajduje pewne uzasadnienie. Powinniśmy jednak bliżej zapoznać się z jego racja-mi, które mogłyby przecież być bardziej zawile, niż dbałość o re-toryczne efekty. Odczuwa się wy-razny niedosyt argumentacji w tym zakresie, a to, co mogłoby mieć dla uzasadnienia stanowiska mecenas największe znaczenie: niedoskonałość sprawiedliwości „naturalnej”, niejasność i dwu-znaczność tego co się dzieje „na prawdę” jest powiedziane prze-lotnie pod koniec. Czytelnik nie może podjąć się rozstrzygnięcia dylematu, dopóki nie dowie się czy obrona Falskiego była jedy-ną możliwą szansą uniewinnienia oskarżonych. A tego właśnie się nie dowiaduje.

Dookoła głównego dylematu snują się wątki i postaci ubocz-ne. Jest naczelny dyrektor Castel-laz, pośredni sprawca wypadku i jego daleko sięgające ambicje, jest maly romans narratora, robotni-cy, wspomnienia sprzed lat, wiele postaci epizodycznych. Zbyt wiele nawet. Rymkiewicz nie zawsze pamięta o zasadzie, że nie wolno mnożyć tyłów ponad konieczność. A nie bardzo wiem czemu ma służyć opis starego woźnego, por-tiera Hebla, kelnerów, zupełnie przypadkowych postaci. Oczywiście, domyślałem się, że chodzi o możliwość doskonała iluzję rzeczy-wistości. W tym też celu dzieje się wiele innych czynności, nie umotywowanych czym innym. Tyl-ko, że „Konferencja u mecenasów” nie jest książką obyczajową, gdzie naturalnie takie właśnie detale,

epizody i szczegóły byłyby całko-wicie na miejscu. Tu natomiast zaciemniają raczej oblicze właści-wego problemu.

Najciekawsze literacko i najpló-dniejsze są partie w których Rym-kiewicz przeprowadza paralele między mecenasem a Cyncerem, tu właśnie problem uzyskuje naj-głębszy wymiar, czujemy, że nie chodzi o sprawy przypadkowe i jakiegokolwiek. Ta paralela stwarza szczególny rytm czasowy, „dwu” czy nawet wielokrotność sytuacji, tak często spotykaną w wielkiej powieści współczesnej, od Joyce’a do Hemingway’a. Szkoda, że autor jeszcze mocniej nie skoncentrował się na tym motywie. Być może jednak musiałby przy tym szerzej rozwinąć racje Falskiego a za-rzarem jego patrona na niekorzyść partii tylko i wyłącznie opisow-ych.

Natomiast książka, którą otrzy-maliśmy nie uniknęła pewnej dwuznaczności. Oczywiście, Rym-kiewicz jest pisarzem zanadto do-świadczonym, aby wprowadzić jakieś zupełnie luźne motywy, to też wszystko w jego książce jed-nak, w ten czy inny sposób tłumaczy się i uzasadnia. Granica między tym co należy do istoty zagadnienia a światem epizodów jest nieostra i dyskusyjna. Ale mogło by nie być jej wcale.

W sumie otrzymaliśmy książkę ciekawą, której nie sposób od-mówić istotnej problematyki ani uzgodnionej motywacji. Ani wreszcie tego, że czyta się ją z praw-dy-wym zainteresowaniem. Zresztą być może, nawet to co wydało mi się jej niejakim obciążeniem, mog-ło by być przyjęte z aplauzem przez czytelnika stawiającego in-nego rodzaju wymagania. Bo sp-głądając na książkę z innej stro-ny, z punktu widzenia sprawności i wierności warsztatu opisowego można ją spokojnie uznać za suk-ces autora. Rymkiewicz dobrze różniące postaci, wyposaża je w odrębności, motywuje ich dzia-łanie i słowa, z nielicznymi tyl-ko odstępstwami. Ale zapewne Rymkiewiczowi chodziło jednak o tę dwuznaczność sytuacji i pro-blemu o której tak często wspo-mina. Dlatego obaj antagoniści nie mają całkowitej racji. I tu właśnie ma ją autor.

Władysław Rymkiewicz, „Konferencja u mecenasów”. Wydawnictwo Łódzkie, 1964, s. 236.

OPOLE 64



350 wykonawców. 500 piosenek. Koncerty, recitale, konferencje, spotkania. Maraton w pięknej scenarii.

ŚRODA RANO. W biurze prasowym meldują się dziennikarze. Wbraw obliczeniom zamiast 80 przyjeżdża ich 150. Pierwsza konferencja prasowa. Pada pytanie: „Czy Polskie Nagrania będą nagrywać płyty z Festiwalu?” Przed stawicielem przedsiębiorstwa odpowiada przecząco. Atmosfera napięta. W ciszy, z sali pada okrzyk: *Ha! ha! Salwa śmiechu.* Zmiana tematu. Co z Łazuką? Podobno nie przyjedzie. Dyrektor III Programu „Polskiego Radia” Edward Fiszer wyjaśnia: Teatr nie chciał go puścić, musieliśmy wykupić trzy spektakle po 12 tysięcy każdy. Łazuka będzie.

ŚRODA WIECZÓR. Uroczysta inauguracja. Leje deszcz. Wspaniała polska publiczność chowa się pod parasolkami. Wspaniały konferansjer Jacek Fedorowicz wychylając głowę spod swojego pa-

rasola mówi z wahaniem w głosie: *Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że tam u państwa popaduje. Wspaniały nastrój...*

O 24 finałowy koncert warszawskiej giełdy piosenki. Orkiestra pod dyktando Andrzeja Kurylewicza, Kalina Jedrusik, Wanda Warska, Andrzej Zarnecki i inni. Koniec koncertu o 3 rano. Przedsmak tego, co czeka nas w ciągu następnych dni, w barze-kawiarni „Pająk” wydzielonej dla uczestników Festiwalu tłok. Bufet odmawia sprzedaży. Ludzie głodni, spragnieni. Dziennikarz z Łodzi wymachując legitymacją inwalidzką przekonuje kelnerkę, że lekarz przepisał mu codziennie butelkę piwa „Radeberger” — nie zastosowanie się do zalecenia może spowodować zawał serca. Za chwilę „Radeberger” koł „chore serce”.

Miejsca nieoficjalnych spotkań bar-kawiarnia „Pająk”. W kącie „Filipinki” w niezbyt radosnym



nastrój rozważają przyczyny słabego występu. Michał Burano narzeka na upał i zmęczenie — „Niebiesko-Czarni” bowiem do ostatniego dnia występu pracowali po 12 godzin dziennie. Wojciech Młynarski zastanawia się, czy jego „Niedziela na Głównym” znajdzie takie uznanie w oczach jury jak i u publiczności. O 24 na salę wkracza Raqrime Jazz Band z Krakowa w strojach z epoki wiktoriańskiej i rozpoczyna muzykowanie.

Ille osób tyle opinii i proroctw na temat Festiwalu w Sopocie. Pytam redaktora Wysockiego — szefa redakcji *Muzyki Rozrywkowej* w Warszawie czy prawdą jest, że festiwal sopocki odbędzie się w Warszawie. Odpowiedź jest przecząca.

„Niebiesko-Czarni” chodzą ze zwieszonymi głowami. Nie chcieli zgodzić się na korzystanie z radiowej aparatury wzmacniającej, w rezultacie nie nagrano ani jednej ich piosenki, gdyż mikrofony i wzmacniacze „Niebieskich” poważnie szwankowały w czasie koncertu. Wszystko „poszło w po wietrze”.

Sala Szkoły Muzycznej w Opolu. O 1 w nocy miała się rozpocząć kolejna giełda piosenki. Jest już prawie 1, a wykonawcy po koncercie w amfiteatrze nie zdążyli jeszcze dotrzeć na miejsce. Ktoś z widowni intonuje „Czerwony pas”. Za chwilę śpiewa cała publiczność. Zawstydzona orkiestra wsuwa się chylkiem na estradę i ostatnie taktury utworu mają już akompaniament instrumentalny.

Ten sam koncert. Trzecia naporanem. Zbigniew Adriański zapowiada: *Następną piosenkę zaśpiewa Krystyna Konarska. Państwo chwilę poczekacie, a ja pójdę ją obudzić. Zbyt dużo piosenek dopuszczono do Festiwalu. Maraton trwa, ale staje się zbyt męczący.*

Ostatni koncert w amfiteatrze. Werdykty. Jury obradowało nad nimi 24 godziny. Stanisław Ryszard Dobrowolski ogłaszając wyniki Festiwalu apelował o przychylnie ich przyjęcie. Program imprezy był zbyt przeladowany, aby można było precyzyjnie wybrać z niego rzeczywiście najwartościowsze pozycje.

Ostatnie piosenki końcowego koncertu przy akompaniamentie burzy z piorunami. Jacek Fedorowicz stwierdza: *„Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że tam u państwa trochę popaduje”.*

Ostatnie spotkanie w „Pająku”. Do Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego podchodzi reporter z Katowic: *„Co sądzi pan o festiwalu opolskim?”*. Dobrowolski: *„Nie jestem przygotowany do odpowiedzi na tak precyzyjnie sformułowane pytanie. Ale mogę pana zapewnić, że za rok znowu przyjadę!”*

Za rok w Opolu spotkamy się znów. To jest rzeczywiście stolica polskiej piosenki.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI



Zdjęcia: Mgr T. Horoszkiewicz

ALCHEMIA MISTRZA FEDERICO

Wkrótce wejdzie na nasze ekrany „Słodkie życie” Federico Felliniego, film długo oczekiwany przez polską publiczność, chociażby z uwagi na skandaliczną famę, jaką mu towarzyszy i tytuł, który w międzyczasie wszedł już do potocznie używanego słownictwa.

Fellini należy niewątpliwie do najbardziej oryginalnych osobistości świata filmowego. Każdy jego film, a już szczególnie dwa ostatnie „Słodkie życie” i „Osiem i pół”, wywołało mnóstwo polemik, sporów i kontrowersji. Niektórzy, np. Pasolini uważają go za najgenialniejszego twórcę włoskiej i światowej kinematografii, inni za zrzędnego hochsztaplera żerującego na umiejętności wokół siebie wytworzonej legendzie i nie mającego właściwie nic do powiedzenia, nowego i odkrywczego.

Fellini ma pomysł. Jego trzy scenarzyści Flaiano, Rondi i Pinelli piszą scenariusz. Każdy osobną wersję

pomysłu mistrza. Angażuje się aktorów, buduje dekoracje. W międzyczasie Fellini zmienia całkowicie pierwotny zamysł. W gorączkowej atmosferze, wśród ogólnego zamieszania i chaosu rodzi się coś zupełnie nowego. Tak było i ze „Słodkim życiem” i z „Osiem i pół”, które początkowo miały być filmami o czymś innym. Na przykład głównym bohaterem „Słodkiego życia” miała być pierwotnie, epizodyczna obecnie postać intelektualisty Steinera, a dzisiejszy główny bohater dziennikarz Marcello należał do postaci marginesowych. Nawet po ukończeniu fazy przygotowania scenariuszowego, już w trakcie realizacji na planie, Fellini zmienia szereg epizodów, postaci, szczegółów. Nieustannie tworzy.

W pracy przygotowawczej nad filmem uczestniczą czynnie przyjaciele reżysera, jego żona Giulietta Masina. Ich udział sprowadza się głównie do dyskusji nad różnymi po-

mysłami i do wspomniania chwil przeszłości. Ta przeszłość, osobiste przeżycia, obsesje, ludzie, których kiedyś spotkał w swym życiu i którzy zostawili w nim ślad to główne tworzywo filmów Felliniego. Twórczość Felliniego to nieustająca opowieść o sobie samym, o szukanie samego siebie. Film, nawet tak modny ostatnio film autorski jest w gruncie rzeczy zawsze sztuką epicką, sztuką obiektywnego opowiadania. Autorskość filmu ma raczej charakter intelektualny niż naprawdę „prywatny”, emocjonalny i liryczny, jak to właśnie ma miejsce u Felliniego.

Fellini jest poeta. O tym już wielokrotnie pisano. Poetą tworzącym swój zamknięty, specyficzny świat ze stałe powtarzających się motywów i rekwizytów. (Np. figury świętych, postacie clownów, sceny procesji, puste plaże o brzoisku, puste ulice z fontannami, dziwaczne tańce itd.).

Mają one swe źródło w przeszłości Felliniego, trochę „wałkonia”, trochę „niebieskiego ptaka”, cyrkowca, współpracownika różnych prowincjonalnych teatrzyków i zespołów rewiowych. Mają swój podtekst psycho-analityczny i klucz symboliczny. W poetyce Felliniego jest wiele surrealizmu, choć zupełnie przeciwstawnego Bunuelowi, Felliniego pociąga magiczność, cudowność surrealizmu, tak jak fascynuje go magiczność, i cudowność świata. W wywiadach prasowych reżyser włoski mówił kilkakrotnie, że chciałby być dyrektorem wielkiego cyrku. Do cyrku uciekł zresztą z domu jako kilkunastoletni chłopiec. W atmosferze jego filmów (pomijam już motywy bezpośrednio cyrkowej, w tej przedziwnej mieszaninie ośniewającej, feerycznej widowiskowości, wirtuozerii technicznej, kuglarstwa i szczerzej poezji) jest właśnie coś z cyrku. Fellini przypomina chwilami prestidigitatora, który zadziwia publiczność niezwykłością swych czarnoksiężskich sztuczek.

Poezja Felliniego ma w so-

bie coś z Chagalla i Galszyńskiego. Galszyński też zoglował ciągle tymi smymy lub podobnymi motywami i rekwizytami poetyckimi. I u Galszyńskiego i u Felliniego mają one charakter trochę jarmarczny, banalny, kuglarzski i taki bardzo świeżący i dzwoniący. Felliniego fascynuje bogactwo kształtów, form, barw i dźwięków rzeczywistości. Cyrkowna niezwykłość świata... „dynamika, dynamika” i „... i angelologia” też.

Z tym wszystkim Fellini jest niesłychanie włoski. Nie tylko z uwagi na swój temperament i skłonność do ekshibicjonizmu. W jego twórczości spotykają się i ścierają ze sobą dwie podstawowe linie włoskiej, łacińskiej tradycji kulturowej — dionizyjska, pogańska radość życia, umiłowanie samej biologicznej piękności, bujności istnienia i właściwie katolickimowi szukanie wartości ponadczasowych, transcendentalnych szukanie „duszy”, sensu świata. I z tej głębokiej, wewnętrznego sprzeczności Felliniego artysty i człowieka

biorą swój początek owe dziwne zakończenia jego filmów, rażące wielu krytyków swym nieuzasadnionym (w zestawieniu z wymową całości dzieła) optymizmem. Optymizm wbrew wszystkiemu wywołał się bowiem u Felliniego z jednej strony właśnie z biologicznej afirmacji istnienia, tego co jest, co żyje, co się rusza z radością bycia, z drugiej zaś z wiary w istnienie dobra, miłości, niewinności, z wiary w możliwość odkupienia i znalezienia siebie. Fellini uważa, że nadmierny intelektualizm stanowi jedną z przyczyn kryzysu współczesnej kultury. Najtrudniej dziś zdobyć się na naiwność i odzyskanie pierwotnego kontaktu z naturą i światem.

W epoce kryzysu poezji i pojawienia się wybitnych indywidualności twórczych spod znaku X Muzy, ośmielam się twierdzić, że alchemik i mistrz czarno-białej magii Federico Fellini należy do największych poetów współczesności.

MARIA KORNATOWSKA

WSPOMNIENIA

Simone de Beauvoir

Książki, przedstawienia miały dla nas duże znaczenie, natomiast wydarzenia publiczne obchodziły nas mało.

S. de B.

Po nową książkę Simone de Beauvoir „W sile wieku” sięgnęłam nie z pietysmu dla autorki. Nie interesuje mnie jej proza powieściowa, odznaczająca się nieporównywalnym gadulstwem. Ciekaw byłam raczej, jaki z jej wspomnień wyłoni się obraz Sartre'a oraz co ma ona do powiedzenia o latach 1929-1945, gdyż ten właśnie okres czasu obejmuje najnowsza pozycja francuskiej pisarki. Przypomnijmy, że było to lata mabrzmiałe wypadkami historycznymi: kryzys gospodarczy w Europie, dojście Hitlera do władzy, wojna domowa w Hiszpanii, zagarnięcie Austrii i Czechosłowacji, najazd armii hitlerowskiej na Polskę, upadek Francji, wojna niemiecko-radziecka, konspiracja, wyzolenie. Jak na szesnaście lat dziejów aż nadto, mogłoby tych wydarzeń być mniej. W końcowych partiach poprzedniej książki wspomnień Simone de Beauvoir „Pamiętnik statecznej pani” pojawia się postać Sartre'a. Wśród studentów uniwersytetu wyróżniał się on zdecydowanie, do tego stopnia, że — jak pisze nieskromnie autorka — był jedynym ze znanych jej wówczas ludzi, który górował nad nią umysłowo. Sartre odznaczał się żywiością zainteresowań, był dowcipny, przejawiał zdolności aktorskie. Simone de Beauvoir bardzo go polubiła. W „Sile wieku” oboje są już po studiach, pracują w zawodzie nauczycielskim jako profesorowie liceum. Widują się często, dyskutują ze sobą, kochają się. Obserwujemy jak z dnia na dzień, coraz bardziej pochłania Sartre'a świat książek. Życie nie jest ważne. Ważne są filozofia i literatura. Można by rzec, że one są dla niego życiem prawdziwym, natomiast tak zwane życie jest banalne i nieciekawe. W tym samym mniej więcej czasie, co „W sile wieku”, ukazała się również autobiografia Sartre'a pt. „Słowa” (Les mots). Porównanie tego, co Sartre pisze o sobie z tym, co pisze o nim Simone de Beauvoir zdradza się. Oto znamienne wyznaczenie Sartre'a, zawarte w jego autobiografii: „Znalazłem moją religię: nicnie wydało mi się ważniejsze, niż książka. Na bibliotekę patrzyłem jak na świątynię”. Oczywiście książka Sartre'a jest nieskończenie lepsza. Nabita problematyką, a zarazem wzięcia i gestu. Wspomnienia Simo-

ne de Beauvoir psuje stała dążność autorki do dywagacji o charakterze filozoficznym, które — w stosunku do tego, co mówi Sartre — są wtórne i nieciekawe. Natomiast tam, gdzie opisuje ona spotkania z ludźmi, rozmowy, wydarzenia — książka nabiera na znaczeniu. Ale właśnie po tych sprawach przesłizguje się pisarka z pośpiechem dążąc do uogólnień — niepotrzebnie i ze szkodą dla książki. Właściwie najciekawsze partie w jej wspomnieniach dotyczą czasu okupacji Francji. Tu Simone de Beauvoir wykazała, co stanowi siłę jej talentu. Kiedy pisze o ucieczce, głodzie, zimnie, strachu, kiedy z drobnych spostrzeżeń, przeżyć i obserwacji buduje rzeczywistość tamtego czasu, wierzymy jej. Nie uśmiechamy się sceptycznie, jak wówczas, gdy rozsmuwa przed nami mozolnie konstruowany świat własnej filozofii.

Refleksje, jakie budzi ta lektura, są zasmucające. Kiedy w Europie narastała groza faszyzmu, groza wojny, intelektualści francuscy zachowywali się jak dzieci. Naiwność ich aż zdumiewa. Niczego nie widzieli i niczego nie rozumieli. Lekceważyli lub całkowicie niedoceniali sprawy hitlerowskiej, na to, co działo się w Niemczech, patrzyli tak jak na wydarzenia na Marsie. Mieli mgliste pojęcie o tym, co działo się w ZSRR, a właściwie nie mieli żadnego pojęcia. Żyli w świecie złudzeń i fałszywych wyobrażeń. Wszyscy, nie tylko Sartre i Simone de Beauvoir. Przyczyn tego stanu rzeczy szukałbym w tym, że za nadto porażeni oni byli w świecie książek, a za mało lub wcale nie obchodzili ich życie, aktualne wydarzenia, dziejąca się historia. Otworzyli im się oczy dopiero wtedy, gdy wybuchła wojna i piękne gmachy zbudowane z lektur runęły jak góry piasku. Mało kto u nas ma właściwe wyobrażenia o okupacji niemieckiej we Francji. Książka w „Sile wieku” dostarcza pod tym względem ciekawego materiału. Sartre wystawiał wtedy w Paryżu swoje sztuki („Muchy” i „Przy drzwiach zamkniętych”), Simone de Beauvoir wydała u Gallimarda swoją pierwszą powieść, ukazywały się czasopisma, poświęcone literaturze i filozofii. Jakżeż to wszystko wygląda inaczej w porównaniu z tym, cośmy przeżyli w Polsce. Oczywiście i we Francji głębi ludzkie, były sabotaże, ruch oporu, walka z okupantem, głód i poniewierka. Ale zarazem intelektualści i pisarze przechodzili do kawiarni, gdzie gościnnie całymi pisali swoje

książki i rozprawy filozoficzne. Tak właśnie postępował Sartre po ucieczce z niemieckiej, tak postępowała Simone de Beauvoir, tak postępowali inni. Nie było tam napięć i dramatyzmu o skali polskiej. Było sporo zdrady intelektualnej. Niektórzy wybitni pisarze poszli na kompromis z okupantami, sam wielki André Gide zachował się raczej dwuznacznie. Pesymizm tej książki ma jeszcze jedno źródło. Oto wynika z niej niezbicie, że błędy niczego nas nie uczą. Ani cudze, ani własne. Analizujemy je, oceniamy, wierzymy, że się nie powtórzą, a potem popełniamy nowe, wcale nie mniejsze od poprzednich. Powiedzenie: „uczmy się na własnych błędach”, jest po prostu balamutne. Życie ludzkie, to całkiem małe życie, i wielka historia dostarczą nam dostatecznie wiele dowodów, że wciąż naprawiamy świat i własne postępy i wciąż są one bardzo niedoskonałe.

Z doświadczeń i przeżyć, Sartre i Simone de Beauvoir wyciągnęli jeden wniosek generalny: intelektualista nie może stać na uboju. To przekonanie popchnęło ich oboje do walki konspiracyjnej. Co prawda, dość naiwnie wyglądała ta konspiracja, jeśli sędzić z jej opisu. Ale przecież była ona próbą przełamania pokutującego u wielu intelektualistów francuskich klerkizmu. Cała Sartreowska teoria zaangażowania, poparta późniejszą powieścią o działalności, wywodzi się niewątpliwie z lat wojny i okupacji.

Więc ostatecznie nie żałuję, że sięgnęłam po wspomnienia „W sile wieku”. Są one wielce pouczające. Nie tylko dla pisarzy. Dla wszystkich.

Jankoprowski

LECH BUDRECKI

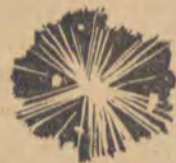
LITERACKI PRZEŁOM

Przełomy literackie. Mówimy o nich. Mówimy ochoczo. Rozdramatyzowani z ferworem. Przełom romantyczny, przełom pozytywistyczny, rewolucja poetycka Mallarmego i Rimbauda... Spieramy się o to. I nagle czujemy, nagle zdajemy sobie sprawę z jałowości naszych argumentów. I naszych wywodów. Wiemy — spór jest bezprzedmiotowy. Jest nie rozstrzygalny. Bo przełom literacki... O przełomie literackim niepodobna mówić bez układu odniesienia. Układ odniesienia staje się tu sprawą zasadniczej natury. Nie, nie chcę go opisywać. To czynność długa i mozolna. Moje ambicje są znacznie skromniejsze. Ba, całkiem skromne. Chciałbym wskazać na kilka właściwości tego układu. A raczej na potrzeby relatywizacji przełomu. Przełom, przełom relatywizowany staje się dopiero przedmiotem sporu. Sporu, który potrafimy rozstrzygnąć.

Przełom literacki jest modyfikacją istniejących wcześniej konwencji. Modyfikacją a nie odrzuceniem. Żaden przełom nie przekreśla bez reszty konwencji zastanych. Każdy coś z nich bierze. Asymiluje pewne elementy poprzedzających go poetyk. Możemy uznawać je za mało ważne. Za nieistotne zgola. Możemy twierdzić, że włączone w obręb nowej całości funkcjonują inaczej. Tak jak inaczej funkcjonuje mit człowieka

natury w Oświeceniu i w Romantyzmie. Lecz elementy stanowią spadek po konwencjach zastanych. Są ich dziedzictwem. Spadek? Dziedzictwem? Tak, oczywiście. Tu wylania się pierwszy problem związany z relatywizacją. Przełom literacki zależy przecież od charakterystyki zastanych konwencji. Możemy potraktować je tak, by nie był on modyfikacją. By stanął odrzucenie. Co prawda rzadko tak postępujemy. A nawet — nie postępujemy tak nigdy. Prawie nigdy. Ale zależność przełomu od charakterystyki dotychczasowych konwencji jest rzeczą ewidentną. Lokalizacja przełomu Średniowiecza i Odrodzenia zależy od charakterystyki Średniowiecza. Oczywiście nie tylko. Ale między innymi.

Przełom literacki jest więc modyfikacją. Tak przynajmniej zwykliśmy go interpretować. Natural-



nie modyfikacją pod pewnymi względami. Są to względy szczególnie dla nas ważne. Choćby z uwagi na rodzaj problematyki, którą podejmujemy. Wybór owych ważnych względów rozstrzyga o pozycji czasowo-przestrzennej przełomu. Jeśli bowiem za istotny aspekt powieści nowoczesnej uznamy wyrażenie się autorskiej wszechwiedzy, przełom przyjdzie nam umiejscowić pomiędzy Flaubertem a Henry Jamesem. Jeśli jednak aspektu takiego dopatrzymy się w odnowieniu prozy „drugiego dna”, sytuacja zmieni się dość znacznie. Przełom przyjdzie wówczas nam przesunąć. Przyjdzie nam zatrzymać się dopiero na Tomaszu Mannie i Joyce. Oczywiście, są to przykłady fikcyjne. Dla celów przykładowych właśnie świadomie uproszczone. Z reguły bowiem bierzemy pod uwagę nie jeden, lecz wiele aspektów. Jednakże względy, które uznajemy za szczególnie doniosłe decydują o uznaniu tej czy innej modyfikacji za przełom. Jeśli dwu panów spiera się o przełom romantyczny, jeśli początek przełomu datują oni inaczej niż nie podejrzewamy od



w którym punkcie lokalizować przełom? W ten sam sposób scharakteryzowaliśmy dotychczasowe konwencje. Wzięliśmy pod uwagę te same aspekty modyfikacji. Nie próbujemy narzucić jeden drugiemu wybranego przez nas aspektu, zapewniając, iż jest on najważniejszy, najbardziej istotny. Daliśmy temu pokój. A wciąż lokalizujemy badany przez nas przełom inaczej. To zrozumiałe. To naturalne. Sto pień modyfikacji jest tu niewymierny. Nie znamy sposobów mierzenia modyfikacji. A nawet gdybyśmy je znali, gdybyśmy dysponowali skalą — o konstrukcji takiej skali można się przecież pokusić — niewiele nam to pomoże. Bo wyrasta tu przed nami problem arbitralności rozstrzygnięcia. Musimy w pewnym miejscu uznać sto-



pień przemiany za dostatecznie wysoki, by mówić o przełomie. Musimy gdzieś dokonać cięcia. Coś oznacz za przygotowanie przełomu, a coś za przełom. I oto podjęte przez nas decyzje różnią się między sobą. Są niezgodne. I znów w grę nie wchodzi fakty. Znamy je równie dobrze. W grę weszła decyzja. Weszło arbitralne rozstrzygnięcie. Jest ono częścią układu odniesienia. Tak jak jest nią charakterystyka zastanych konwencji. I wybór istotnych aspektów modyfikacji.

SPEKTAKLE tygodnia

| FILM | | |
|--|-------------|---------------|
| POLONIA — „Źródło trzech prawd” | 35 seansów | 15 068 widzów |
| WŁÓKNIARZ — „Zona dla Australijczyka” | 35 seansów | 9 077 widzów |
| TEATR | | |
| NOWY — „Wicek i Wacek” | 6 spektakli | 2 100 — 50% |
| NOWY — „Gardziasz” | 6 spektakli | 600 — 50% |
| JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza” | 3 spektakle | 1 800 — 89% |
| OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu” | 6 spektakli | 3 517 — 84% |
| OPERA — „Damy i huzary” | 1 spektakl | 325 — 50% |
| ESTRADA — Niedzielną impreza rozrywkowa w parku Poniatowskiego | | 1 000 — 100% |

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

SIŁĄ BEZWŁADU

Seans telewizyjny odbywa się przeważnie w sposób ustalony zwyczajowo. Zwyczaj zaś wywalczył gdzie i przez kogo jest stosowany. Wszędzie zapewnienia telewizorów o własnym, kategorięcznie przestępnym trybie oglądania programów telewizyjnych są tylko osłoną słabości, są tylko ostatnią formą obrony przed przykrą świadomością, że nie panuje się nad żywiołem, wyzwolonym w chwili niezawagi. To prawda, że każdy teleman ma swoje ulubione programy, czy raczej, że usiłuje je mieć, by uratować resztki godności człowieka niezależnego. Ale, czy jeśli uznaje

się wartości dziennika telewizyjnego, ogląda się tylko dziennik telewizyjny? Jest rzeczą zrozumiałą, że ktoś kupił odbiornik dlatego, że lubi sprawozdania sportowe. Ale dlaczego ogląda potem niemo koncert piosenki z Lipska, lub poświęca godzinę tygodniowo na podpatrywanie zawodowego i prywatnego życia doktora Kildare'a? Dlaczego w oczekiwaniu na przekaz aktualnych wiadomości śledzi przeznaczony dla dzieci dialog Agatki i Jacusia, a po wiadomościach wypatruje następnej wypowiedzi spikera, potem zaś bez względu na treść anonsu, patrzy na kronikę filmową, powtórzenie znanego już przedstawienia teatralnego, wreszcie na kolejne wydanie dziennika? Ten rytuał telewizyjny, trzeba to sprawdzić, przynajmniej nie ma w sobie nic z entuzjazmu. Kilku-godzinne wpatrywanie się w skrętek ruchliwego ekranu nie sprzyja obecności gwałtownych uczuć. Telewizor jest najczęściej zdegu-

stowany. Prowadzi w międzyczasie rozmowy z domownikami, dokonuje drobnych czynności gospodarskich, manifestuje nawet jawnie swoją indyferencję wobec telewizji. Przez cały czas jednak niezmiennie trwa na posterunku, i rzadko tylko udaje się mu zdobyć na dramatyczne posunięcie — przekroczenie odpowiedzialnej galki aparatu. Obecność przed telewizorem, jakkolwiek byłaby tłumaczona, jest akceptacją wydarzenia, w którym się uczestniczy. Najczęściej jest tego bierna akceptacja. Zwolna wokół telewizji i zagadnień z nią związanych zaczyna się gromadzić literatura. Nie brak głosów bijących na alarm, domagających się kodeksu norm, który wprowadziłby porządek do chaosu telewizyjnego postrzegania, który ustaliłby zasady wyboru odpowiednich pozycji programu, który zaangażowałby widza w przeżywanie narzucone mu niejako z ekranu. Jednym słowem chodziłoby o taki kodeks postępowania, który zer-

wałby raz na zawsze z pasywnością odbiorcy. Reformatorzy sposobu oglądania telewizji nie biorą jednak pod uwagę faktu, że wybrali sobie wyjątkowo niewdzięczny teren dla swoich dydaktycznych zapędów. Nie zdają sobie sprawy, że przełamanie konwencji odbioru telewizyjnego wykracza daleko poza obręb ruchomych obrazków i staje się problemem przełamania naturalnych ludzkich skłonności do bezczynności. Telewizja, jak żaden chyba dotychczas element kultury masowej, dostarcza ogromnych możliwości, gdy idzie o bezczynność, nie tylko w dziedzinie emocji, ale głównie w dziedzinie refleksji. Przede wszystkim ze względu na swoją właściwość konkretyzowania, jednoznaczności. Telemania jest w gruncie rzeczy zjawiskiem zupełnie różnym od przykładowo biorąc, manii czytania powieści kryminalnych, choć obie często bywają jednakowo szacowane. Czytelnik kryminałów mil-

tanu wyobraźnię, do czego telewizja nikt nie może zmusić. Dość znamiennego przykładu, gdy chodzi o odbiór telewizji i literatury, dostarcza choćby powieść Henry Jamesa „W kleszczach lęku”. Lektura pozwoli na dwójaką interpretację: duchy istniały, albo przeciwnie, wcale ich nie było. Utrzymanie tej wartości lektury na ekranie jest zgola niemożliwe. Albo się duchy pokaze, i w tedy jasne jest, że żyjemy w świecie zjaw ludzi martwych, albo się ich nie pokaze i wtedy wiadomo, że gubernantka była historyczka. Dwuznaczność upada, wyobraźnia nie ma nic do roboty. Telewizja chytrze postąpiła ze słowami zwolennikami. Stworzyła wszelkie pozory aktywności, usprawiedliwiające wielogodzinne seanse przed odbiornikiem. Bezczynność, bezczynność zresztą zamaskowana jest głównym niebezpiecznym atutem domowej muzy.

MIKS

